NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. | Kraków, 25 grudnia 1915. | Nr. 52.

W noc wigilijną.



Numer Gwiazdkowy!

STANISŁAW STWORA.

W NOC WIGILIJNĄ.

Ku wam pobiegnie — co piersiami swemi
stawiacie opór męski wrażej sile
i krwią swą łono użyźniacie ziemi,
tęskna myśl nasza — ku wam... coście tyle
przeszli już trudów i znojów bez granic
i życie mając sobie i śmierć — za nic!

Ku wam... pobiegnie z zmierzchem pocichutku,
Kiedy się łamać będziemy opłatkiem,
we łzie serdecznej i krwawiącym smutku;
— ta myśl doleci was, choć sił ostatkiem
i powie (biedne jest serce człowiecze)
jak nam tu bez was smutnie dzień się wlecze!

Lecz wasze serce niechaj się nie łzawi,
niechże się ulży dziś waszej udręce,
w tę noc, gdy w lichej, pastuszej stajence
Chrystus maleńki ludziom błogosławi...
więc niechże noc ta wam szczęścia nie gasi,
o, utęsknieni, drodzy bracia nasi!

Wierzcie — będziemy przy was dzisiaj wszyscy,
tam — w pustem polu wśród waszego znoju,
waszym tęsknotom i cierpieniom bliscy,
niby anioły ciszy i spokoju
staniemy przy was... każdy ból, jęk głuchy
koić będziemy, jako dobre duchy!

Niech wszystkim snom się waszym stanie zadość,
dziś — gdy zmierzch skryje dnia promień ostatni,
spokój dziś z wami — wesele i radość!
Oto wam ślemy z serca uścisk bratni
i uśmiech słońca — o, bracia najszczersi,
wyście naszemu sercu dzisiaj — pierwsi!

OD WYDAWNICTWA.

W ciężkich, przełomowych, zaprawianych krwią i łzami, a — brzemiennych w dziejowe wydarzenia czasach, kończymy 12-ty rok naszego wydawnictwa. Od sierpnia 1914 r. trwają nieprzerwanie te tytaniczne zapasy, jakich nie było jeszcze w dziejach. Wszystkie najpotężniejsze państwa i narody Europy stanęły do walki o swój byt i swe istnienie, a ta walka, siejąca śmierć i zniszczenie dookoła, krwawą pożogą zalała Polskę... Nie wiemy jeszcze, co nam przyniesie, ale wierzymy, że z naszej krwi ofiarnej, ze zgliszcz i mogił ziemi polskiej musi zabłysnąć świt naszej wolności. Ta wiara każe nam żyć i przezwyciężać wszelkie trudności. Gdy jedni walczą i giną — składając swe życie jako posiew lepszej przyszłości — inni pełnią mniej chlubne, ale przez to może bardziej uciążliwe zadanie żmudnej codziennej pracy — w chwili, gdy wszystko usuwa się z pod nóg. Ta praca, w tak niewdzięcznych i trudnych warunkach, to także ważny i konieczny posterunek, bez którego cały świat stałby się dziś jednem pobojowiskiem.

Takim pokojowym posterunkiem pracy, najbardziej jednak związanym z najgłębszą istotą rozgrywającego się dziś dramatu dziejowego jest prasa. Choć niepodobna jeszcze ująć perspektywy wydarzeń, choć przyszłość jest zasłonięta mrokiem tajemnicy — prasa jest zwierciadłem tego wielkiego momentu — notuje skrzętnie teraźniejszość, przypomina przeszłość i wyczuwa przyszłość. Jak z tej misyi wywiązały się „Nowości Illustrowane“ w ubiegłym roku wielkiej wojny — wiedzą najlepiej Czytelnicy i Przyjaciele naszego pisma. Wierni dotychczasowym swym zasadom, staraliśmy się w miarę sił i środków być **najdokładniejszem odbiciem wielkiej wojny i jej skutków w Polsce.**

W czasach najcięższych, gdy nieprzyjaciel stał u wrót Krakowa, gdy bieg normalnego życia ustał, zatamowany wszystkiemi okropnościami wojny, **„Nowości Illustrowane“ stały się jedyną na ziemiach polskich illustrowaną kroniką dziejowego przewrotu w Polsce i całej Europie.**

Byłoby rzeczą zbyteczną wyjaśniać, z jakiemi w obecnych, wojennych czasach musieliśmy walczyć trudnościami. Brak personalu, powołanego pod broń, drożyzna, a często zupełny brak materyałów technicznych stawiał nas często w położeniu niemal bez wyjścia, ale jak żołnierze wytrwaliśmy na posterunku!

I dziś rozpoczynamy nowy rok swej pracy w poczuciu spełnionego obowiązku i z wiarą, że i nadal wytrwamy na tej placówce. A musimy tu z dumą zaznaczyć, że w spełnieniu naszego, tak odpowiedzialnego zadania była nie tylko otuchą, ale i realną pomocą **życzliwość szerokich kół polskiego społeczeństwa.**

Mamy też niepłonną nadzieję, że i nadal to poparcie pozwoli „Nowościom Illustrowanym“ wypełnić należycie swą misyę, jako organu, który jest najobjektywniejszem i najtrwalszem, bo uwiecznionem na kliszy fotograficznej **zwierciadłem wielkiej wojny.**

Ufni w to poparcie, jak również gotowi do dalszych wysiłków i ofiar, aby tylko godnie odpowiedzieć zaufaniu, jakiem nas darzą najszersze koła naszego społeczeństwa, nie będziemy pisać zwykłych zapowiedzi prospektowych. Wystarczy, gdy zaznaczymy, że „Nowości Illustrowane“, które wyszły zwycięsko z dotychczasowych ciężkich prób stanu wojennego, dołożą starań, aby w rozpoczynającym się roku stały się przez **pozyskanie nowych korespondentów we wszystkich dzielnicach Polski** możliwie najdokładniejszym i najwszechstronniejszym **obrazem obecnej dziejowej chwili na ziemiach polskich.**

Musimy tu jeszcze podnieść, że pragnąc, aby „Nowości Illustrowane“ były w tych przełomowych czasach **dostępne dla wszystkich** — nie poszliśmy za przykładem innych wydawnictw i **nie podwyższamy ceny pisma,** jakkolwiek papier i wszystkie materyały podrożały obecnie **w dwójnasób, a nawet w trójnasób.** Nie wątpimy też, że najszersze sfery ocenią nasze intencye **i nie będzie domu polskiego,** w którym nie znalazłaby się **ta illustrowana pamiątka wielkiego momentu dziejowego, jaką są i będą „Nowości Illustrowane“.**

Wszystkim P. T. Prenumeratorom, Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom naszego pisma zasyłamy serdeczne życzenia

„Wesołych Świąt“.

Świąteczna wystawa sztuki.

W ostatnią niedzielę przed Bożem Narodzeniem odbyło się w Pałacu sztuki otwarcie wystawy obrazów i rzeźby. Po dłuższej stagnacyi, w jakiej wypadki wojenne pogrążyły twórczość artystyczną w Krakowie, po raz pierwszy sale pałacu na placu Szczepańskim zaroiły się falującym tłumem publiczności, która z żywem zainteresowaniem oglądała wystawę „Sztuki“ i „Rzeźby“.

Urządzona pod protektoratem JE. Amalii Kukowej wystawa przedstawia się istotnie bardzo okazale i zajmująco. Towarzystwo „Sztuka“, którego filarami są w chwili obecnej profesorowie naszej Akademii Sztuk pięknych, zgodnie z tradycyą lat ubiegłych, utrzymało wystawę na wysokim poziomie artystycznym.

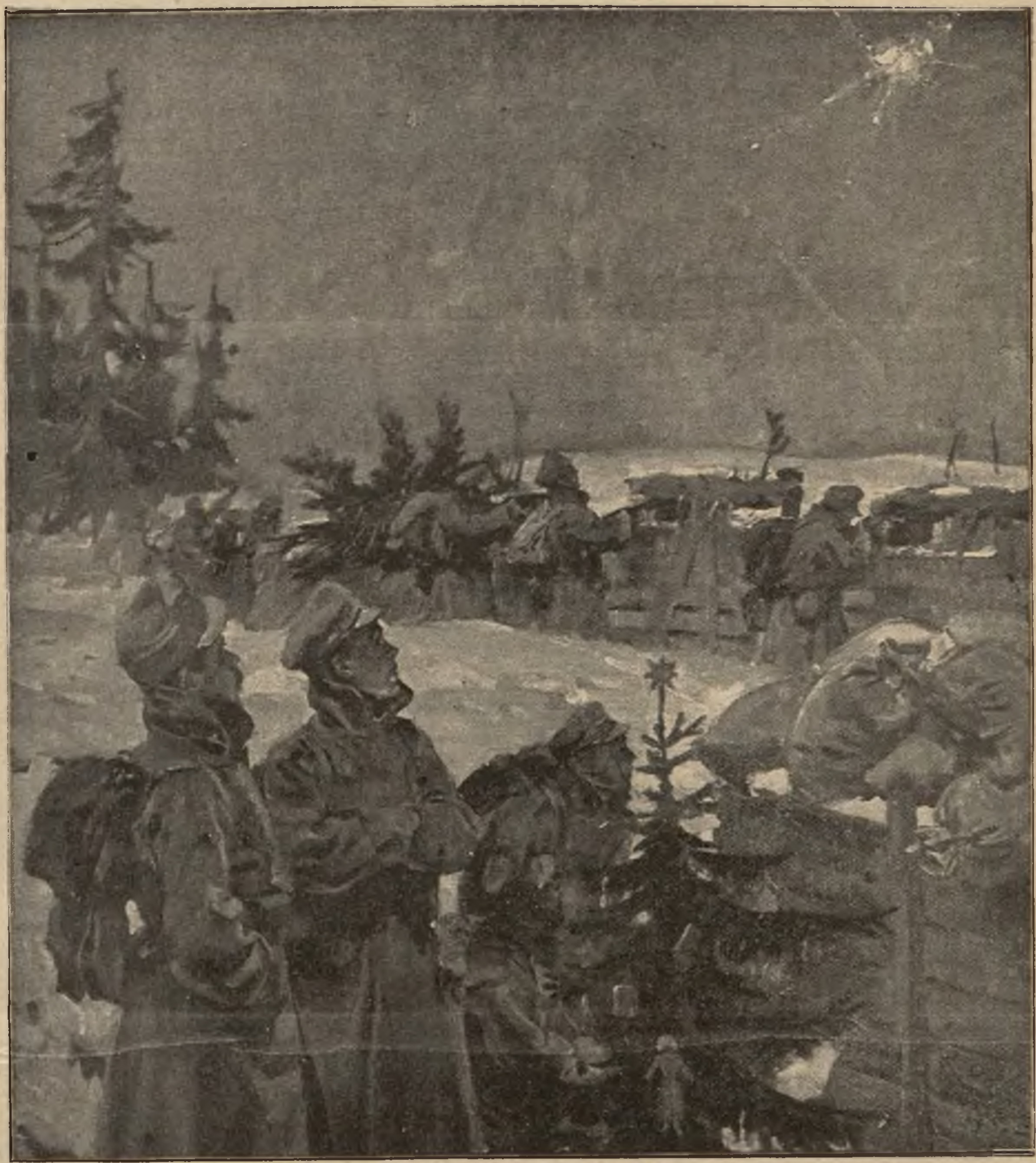
Na pierwsze miejsce wysuwa się kolekcya obrazów profesora Axentowicza, w której talent świetnego artysty ujawnił się w całym kunszcie techniki olejnej i pastelowej i w właściwej swojej dziedzinie portretu dał cykl dzieł pierwszorzędnej wartości. Z dzieł olejnych rzucają się w oko „Swięto Jordanu na huculszczyźnie“, dużych rozmiarów kompozycya, będąca waryantem podobnej kompozycyi, już dawniej przez profesora Axentowicza stworzonej, „Taniec“, barwna scena z wesela na Rusi, portret Skauta, soczysty, pełen wyrazistości i plastyki i cały cykl subtelnych pastelowych portretów i studyów kobiecych, wykazujących niedoścignioną technikę mistrza pastelu.

Z obfitym plonem wystąpił prof. Mehoffer. Obok ładnego portretu własnego, mamy tu karton witrażowy „Sw. Kazimierza“, portret żony artysty na barwnem tle dekoracyjnem, oraz cały cykl pejzażów.

Profesor Weiss zwraca uwagę kilku kompozycyami pejzażowemi, studyum portretowem kobiety w oknie, oraz cyklem szkiców pejzażowych akwarelowych. — Obok akwareli Fałata „Kościół“ zwracają uwagę pejzaże Uziembły, pejzaż Terleckiego, pejzaże Filipkiewicza, pastele Tichego, studya rodzajowe ze świata żydowskiego Markowicza. W dziale artystycznego zdobnictwa z bardzo interesującemi winietami wystąpili p. Bukowski i p. Lubańska.

Ozdobą wystawy i najcelniejszem jej dziełem portretowem jest portret komendanta twierdzy JE. generała Kuka, pędzla nadporucznika p. Baschnyego, zaszczytnie znanego artysty malarza wiedeńskiego, którego dzieło po raz pierwszy zagościło na krakowskiej wystawie.

Wystawa rzeźby tym razem mniej licznie obesłana jest, niż w innych latach i spełnia rolę wysoce artystycznego tła wystawy malarskiej. Z celniejszych dzieł wyróżniają się tu portretowe studya Popławskiego, doskonałe studyum Pugeta „Walczące barany“, interesująca „Głowa“ profesora Weissa, „Głowa chłopczyka“ Koniecznego, i dwa wybornie modelowane bronzy Gettera.

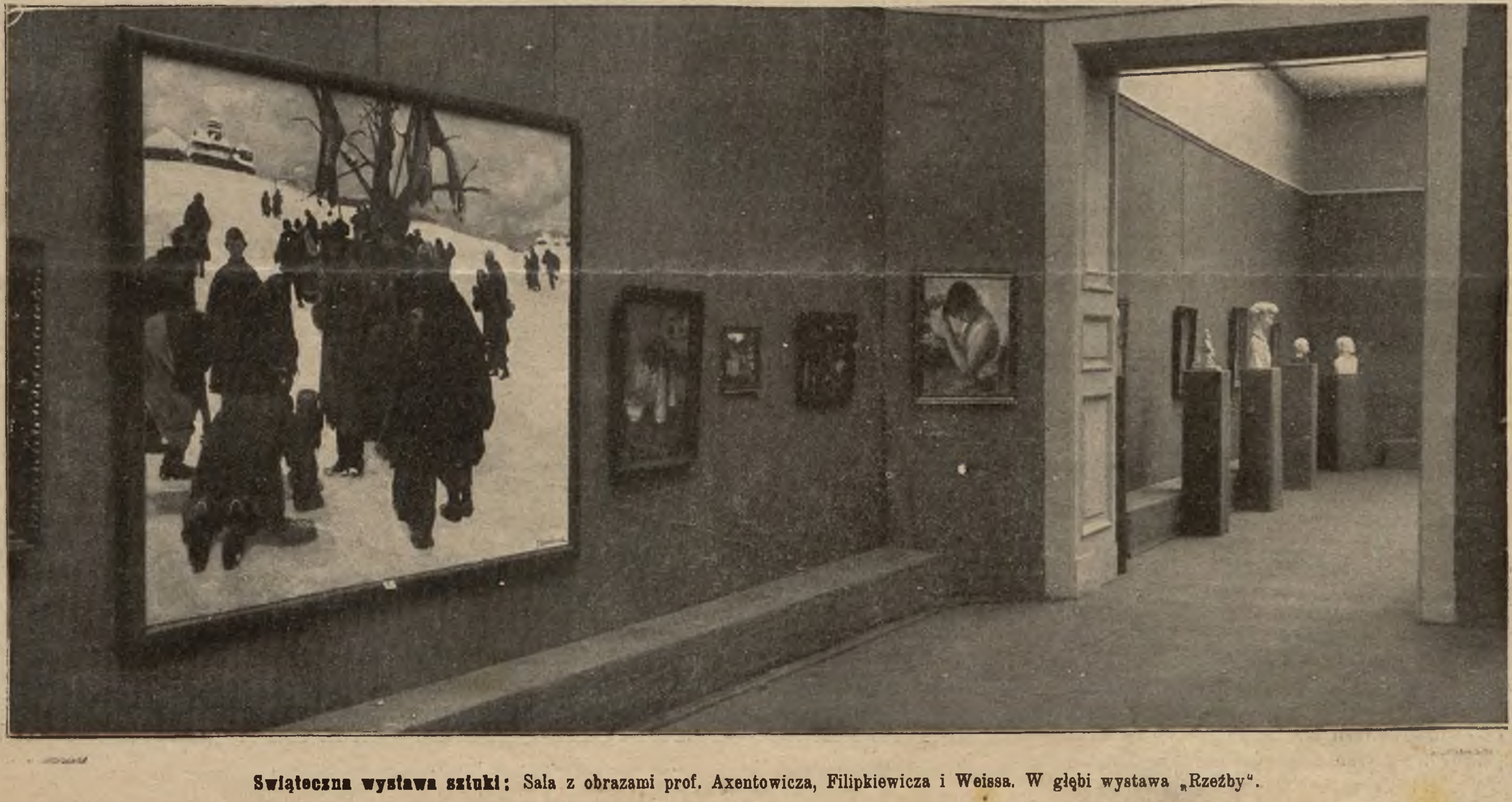


Artystyczne wydawnictwa Kraj. Stow. Czerw. Krzyża: „Gwiazdka żołnierska“ Wojciecha Kossaka.

W pierwszym dniu wystawy sprzedażą losów na loteryę artystyczną, z której dochód przeznaczony jest na cele opieki wojennej, zajęła się JE. pani Kukowa wraz z księżną Kaz. Lubomirską i panią Hallerową. Popyt na losy był bardzo znaczny, dzięki czemu ze sprzedaży zebrała się poważna kwota. Podczas otwarcia honory gospodarzy pełnili i gości oprowadzali z ramienia „Sztuki“ profesor Axentowicz, z ramienia Towarzystwa „Rzeźba“ p. L. br. Puget.

Zgon zasłużonego obywatela.

Uniwersytet Jagielloński, a z nim i naukę polską dotknął drugi w krótkim przeciągu czasu cios bolesny. Zaledwie zawarła się mogiła, w której złożono na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. profesora



Swiąteczna wystawa sztuki: Sala z obrazami prof. Axentowicza, Filipkiewicza i Weissa. W głębi wystawa „Rzeźby“.



Z polskich pobojowisk: Rynek w Kraśniku z widokiem na starożytny kościół.



Świąteczna wystawa sztuki: Sala z obrazami prof. Mehoffera. Ostatni z prawej strony „kościół“ Fałata

Wicherkiewicza, rozeszła się smutna wiadomość o zgonie profesora Macieja Leona Jakubowskiego, zasłużonego lekarza pedyatry i filantropa.

Śmierć Jego dotknęła boleśnie nasze miasto, które w zmarłym traci swego honorowego obywatela, jednego z najżarliwszych opiekunów chorej dziatwy, znanego męża nauki, założyciela i długoletniego dyrektora szpitala św. Ludwika i kuratora kolonii leczniczej w Rabce.

Urodzony w Krakowie, dnia 2-go marca 1837 r. tutaj skończył gimnazyum św. Anny, poczem na Uniwersytecie Jagiellońskim otrzymał w roku 1861 stopień doktora medycyny. Dalsze studya odbywał w Wiedniu, Pradze i Paryżu, wszędzie zwracając baczną uwagę nie tylko na umiejętność leczenia dziecka, ale i na instytucye dobroczynne, opiekujące się dzieckiem, jako skarbem narodowym. Te wzory, które widział za granicą, wzbudziły w jego sercu żywą chęć przeszczepienia ich na nasz grunt.

W roku 1866 uzyskał dyplom magistra położnictwa we Wiedniu, gdzie zyskał sobie uznanie z powodu swej wiedzy fachowej i przyjaźń najwybitniejszych ówczesnych powag lekarskich. Robiono mu bardzo ponętne oferty, oparł się im jednak i powrócił do rodzinnego miasta, by tutaj pracować dla dobra maluczkich.

W roku 1864 habilituje się ś. p. profesor Jakubowski w Krakowie jako docent pedyatryi, w r. 1873 otrzymuje nominacyę na profesora nadzwyczajnego, a w r. 1876 zatwierdzenie na tej katedrze.

Na tem stanowisku zdołał zmarły osiągnąć najwdzięczniejsze rezultaty, wykształcił cały szereg lekarzy specyalistów i obudził zainteresowanie świata lekarskiego dla pedyatryi, przedtem zupełnie u nas zaniedbanej.

Pomimo trudnych warunków, w jakich przyszło mu pracować, potrafił doprowadzić nową katedrę do rozkwitu, zajmował ją też, ukochany przez uczniów i maleńkich pacyentów, do roku 1907, kiedy z powodu osiągnięcia siedemdziesięciu lat życia musiał przejść na emeryturę.

W r. 1900 reprezentował wydział lekarski jako dziekan, w roku szkolnym 1900–01 pełnił obowiązki rektora krakowskiej *Almae Matris*.

Nie tylko jednak jako profesor i lekarz praktyczny położył ś. p. prof. Jakubowski niespożyte zasługi. Tytuł do wdzięcznej pamięci zdobył sobie nadto jako obywatel kraju i filantrop. Jego zabiegami i staraniem powstał w r. 1877 głośny w Krakowie szpital św. Ludwika dla dzieci, oraz Towarzystwa Opieki szpitalnej dla dzieci. – Z energią, opartą na miłości dziatwy, umiał obie instytucye rozwinąć, a niebawem dołączyć do nich trzecią, to jest Kolonię leczniczą dla dzieci w Rabce.

Tysiące biednych i opuszczonych dzieci, które byłyby inaczej zmarniały bez ratunku i pomocy, zawdzięczają mu swe życie i zdrowie. Z zaparciem się siebie, ze szkodą osobistych interesów, z poświęceniem zdrowia i czasu, ratował maleńkie istoty, jednając sobie wdzięczność kół najbiedniejszych, a cześć i poważanie całego miasta.

Za tę wielostronną a szlachetną i pożyteczną działalność spotkało czcigodnego profesora zasłużone uznanie ogółu. Nauka powołała go do grona członków b. Towarzystwa naukowego, skąd poszedł do Akademii, miasto Kraków obdarzyło byłego członka Rady miejskiej i opiekuna najbiedniejszych najwyższem odznaczeniem, jakiem rozporządza, nadając Zmarłemu godność honorowego obywatela.

Zgon zacnego lekarza i obywatela filantropa okrył głęboką żałobą Uniwersytet i miasto Kraków, które w ś. p. profesorze Jakubowskim tracą jednego z najzacniejszych pracowników na niwie społecznej.

Cześć Jego pamięci!



Z polskich pobojowisk: Osada Piaski pod Lublinem spalona przez Rosyan.

JÓZEF LASOŃ.

Wieczór wigilijny...

(Fragmenty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Smutna dziś w całej Polsce wigilia...

Nie masz tu rodziny, w którejby kogoś przy stole wigilijnym nie zabrakło.

Drżące ręce staruszki matki ujmą opłatek, łza potoczy się po umartwionej twarzy i myśl popłynie tam, gdzie wre walka z wrogiem, a może do nieznanej mogiły syna...

I popłyną łzy matek, żon, sióstr. Zapłaczą cichutkim głosikiem roje dziatek, pytając natarczywie matki:

— Mamciu, gdzie tato? mamciu, a tatuś nie będzie na wigilii?

I nie odpowie matka, bo może ból serdeczny jej sercem ścisnął, zamarły jej słowa na ustach...

Ręce ujmą opłatek w dłonie, drżące ręce matki, żony, a myśl popłynie, wraz z serdecznym bólem i tęsknotą daleko w wir walki, a może do cichej, nieznanej mogiły...

A nad polską ziemią, w wieczór wigilijny, gdy zabłysną gwiazdy, rozpętają się złe moce wojny — pękające granaty i szrapnele, jak gwiazdy z niebios strącone padając, szerzyć będą zniszczenie i śmierć.

Smutny wigilijny wieczór w Polsce...

— — — — — — — — — — —

A pod wieczór, gdy szarzyzna nocy wtulać się poczęła w obmarzłe gałązki drzew, okryte śniegiem i przyciskać do białego śnieżnego pokrowca ziemi, gdy wicher północny tumany śnieżne włóczyć począł po ziemi, jakby ogony komet, nagle ku ziemi przyciągnięte, gdy mróz pocznie coraz silniej przyrodę i ludzi ściskać zimnym swym pocałunkiem, śmierć wróżącym — i ludzie w wieczór ów poczną gwiazdy wchodzącej wyczekiwać, aby zasiąść do stołu wigilijnego, aby przy stole wyczekiwać na północ i powitać przychodzącego na świat Chrystusa-Zbawcę — poczną nad polską chatą błyskać pękające pociski armatnie, z świstem wiatru zmiesza się świst kul śmiercionośnych, ruinę i zniszczenie, śmierć i zagładę niosąc...

Wieczór wigilijny...

Choć już gwiazda zeszła, zaskrzyło się na niebie, nie zabłysły światła po nędznych lepiankach chłopskich, wieś jakby zupełnie zamarła.

A nad wsią gwiazdy szrapnele lecą, jakby powitać chciały narodzić się mającego Chrystusa.

Czasem przemknie się szara postać żołnierza przez wieś, czasem z okrzykami żołnierzy, biegnącymi do szturmu, zmiesza się jęk, krzyk śmiertelnie ranionego. I znów złowroga cisza. Zawyje rozpacznie pies, zakracze przestraszony kruk i wrona, i pod strzechę wieśniaczą się wtulą, aby z rannym brzaskiem zerwać się na ucztę...

Nędzna lepianka wieśniacza...

Nie błyska w niej ogień na kominku, zimnica tchnie swym mroźnym oddechem, nie błyska światło lampki na stole, ni świece przy stole wigilijnym. Chłopiąt wiejskich parę skuliło się przy kominku zimnym, własnym ciałem ogrzać się pragną, trwoga usiadła na wybladłym, wynędzniałym obliczu ze szklanemi oczami, na których łzy w lód się przemieniły, patrzą na wyczekujących, stojących z trwogą przy oknie chaty rodziców, którzy wsłuchują się w przeraźliwy świst kul, z rozpaczą myślą o chwili, kiedy gwiazda-granat uderzy w ich chatę i pogrąży w otchłani gruzów i śmierci...

I biegnie myśl chłopiąt do szczęśliwych czasów, kiedy kolędnicy z gwiazdą pod okna przyszli, chórem zaśpiewali, matula chatę na oścież roztworzyła, zapraszając na poczęstunek.

Chłop targa siwy swój włos na głowie i nie śmie spojrzeć na skuloną przy kominku gromadę swych chłopiąt, bo mu się serce na strzępy drze, bo mu ta cisza, przerywana hukiem armat, zgrozę chwili przypomina.

Północ...

Bóg się rodzi...

Pusty kościółek wiejski, nie zagrzmią gromady chłopskiej głosy: „Bóg się rodzi, moc truchleje“.

Przy kominku tylko cichy szept:

— Północ, na Pasterkę się szło!...

Matuś do chłopiąt gromadki podejdzie, choć i jej łzy lody zamroziły twarz, sercem swem, jak skrzydłami otoczyć chce krew swoją i pociesza:

— Nie płaczta dzieci! Nie smućta się! Bóg nas w swej opiece nie opuści, przejdzieta wszystko!

I pociesza ich mimo, że sama ukojenia w swej duszy znaleźć nie może...

— — — — — — — — — — —

Północ, Bóg się rodzi...

I świecą gwiazdy-szrapnele, padają gwiazdy-granaty, ryją ziemię, chaty kładą pokotem...

Jakby chciały obwieścić ludom i światu, że Bóg się rodzi, moc truchleje i przez cierpienia i ból, przez mękę i krew zbliża się chwila Odkupienia, chwila Wyzwolenia...

Wigilia w chłopskiej chacie, roku tysiąc dziewięćset piętnastego, gdy gwiazdy granaty wieszczą światu i ludziom, że:

Bóg się rodzi i zbliża się chwila Odkupienia i Wyzwolenia...

— — — — — — — — — — —

Wryli się jak krety w ziemię, która chroni ich od zdradliwych kul; płatki śnieżne, coraz gęściej padając, kobierzec biały jakby z puchu łabędzi pod stopami żołnierskiemi utworzyły. Zmarzniętą ziemię pokryły młode, wrące krwią gorącą ciała, rozgrzały się stwardniałe grudy, śnieg wsiąkać począł w mundury żołnierzy, wgryzać się w ich ciała, lodem ścinać krew. Wicher pluć począł w twarz, zasypując usta śnieżno-błotną lawą, huczał, wył, szalał, gdzieś z głuchego boru wypadłszy, na tańce się puścił zawrotne, jakby urągał świszczącym pociskom paszcz armatnich. Rozpoczął swój taniec, gdzieś od gór Uralu, na okopy się rzucił żołnierskie, chcąc je powalić, zburzyć, jakby się zmówił z wrogiem. Zawrotne harce wyprawiając, przeleciał ponad przywartymi do rowów strzeleckich żołnierzami i popędził szlakiem, kędy polski żołnierz z bagnetem w ręku nieprzyjaciela gnał, kędy drogi znaczone były mogiłami i kurhanami, gdzie poorana granatami ziemia, gdzie jedno pasmo ruin, zniszczenia, cierpień, bólu i żałoby... I popędził aż pod śnieżne szczyty Karpat, aby się wyhulać, gniew swój wywnętrzyć...

A ludzie żołnierze, przyczajeni w rowach, czekają na siebie, aby się rzucić, jak ów wicher, w zawrotne tańce szturmu, niosąc sobie wzajemnie rany i śmierć...

Już blaski dnia chować się poczęły na znikającym horyzoncie nieba, już szarzyzna wychyla się gdzieś z borów, z przepastnych jam i skał, i jak węże rozpełzły się jej zausznice — mroki nocne i obejmować poczęły świat...

Niedługo i Jutrznia-gwiazda, jak rakieta zabłyśnie na niebie... i rozpocznie się długi zimowy wieczór i noc... wigilijna...

Poruszyły się postacie w rowach, drżąc z zimna szeptać poczęli żołnierze, rozgrzewać zmarznięte ciało.

— Wigilia dzisiaj! — szepnął żołnierz cicho do towarzysza.

— Wigilia — odpowiedział mu wyrwany szept z gardła, spowity łzą, tęsknotą, bólem...

— Niedługo pójdziem do szturmu!

Skupili się żołnierze i szepcą poważnie:

— Pamiętacie! Choinka skrzy się światłem, na kominku ogień bucha i... i...

Szept wraz z myślą biegnie od rowów strzeleckich, gdzieś może już na spalonych sadybach ludzkich usiada, może już na mogiłach błądzi, w kościółek wiejski bieży...

I długa chwila, cicha długa chwila milczenia, póki nie wyrwie z zadumy ryk paszcz armatnich, póki nie zagrzmi głos komendy:

— Do szturmu, gotój broń.

I z tysięcznych piersi oszalały krzyk:

— Hurra, hurra, hurra!...

Noc długa, zimna, wigilijna noc...

I szept się wydziera z rowów, nieśmiały z początku, a potem coraz silniejszy, aż zleje się w chór potężny z rycerskich wydarty piersi:

— Bóg się rodzi, moc truchleje...

Milknie na chwilę huk armat, karabiny przestaną pluć żelazem, wychyli ostrożnie nieprzyjaciel głowę z za swoich okopów, przestaną czyhać wzajem na siebie wyloty luf, bo pieśń oznajmia, że Bóg się rodzi...

I szeptem zaśpiewa sobie wróg-brat, strzegąc silnie słowa w gardle, aby je nie usłyszał towarzysz-wróg, i niejedna łza potoczy się z ócz, i niejedna myśl braterska popłynie z okopów wroga...

Aż tu nagle oszalały zerwie się krzyk z tysięcznej piersi, niedokończone słowa o narodzinach Pana skonają na ustach, bo zgniecie je oszalały krzyk:

— Hurra, hurra, hurra!...

— — — — — — — — — — —

Kwatera...

Stara chata wieśniacza o zwalonym kominie, o zerwanym dachu, wybitych oknach, opuszczona przez dawniejszych jej mieszkańców, których zgroza wojny wypędziła na tułaczkę, na nieznaną złą dolę, a może i śmierć. Co nie zdołali unieść ze sobą, czego nie zdołali zrabować Moskale, żołnierz do okopu zabrał, aby czy to przed kulą się zasłonić, czy to użyć ciężkiej swojej żołnierskiej doli.

Naszło ci do niej pełno szarych mundurów, wkręciło się kilku ułanów z olbrzymiemi szabliskami, tupiąc hałaśliwie niezgrabnymi, ciężkimi buciskami, uzbrojonymi w ostrza zębatych ostróg. Grzeją się, gwar i zamieszanie w opuszczonej chacie chłopskiej czynią.

Piechury, obecni władcy tej kwatery, zioną na nich słowami, nawołując do spokoju...

— Hej chłopcy, wigilie dziś obchodzimy! Dalejże do trenów, zabrać kto co może, niechżeci kucharze ogień szykują, kto wolny od służby, szykuj nogi, za mną... marsz...

Już na kominku ogień płonie, już się krzątają koło stołu, zbitego na prędce z niebyblowanych deszczek, które może na trumienki żołnierskie miały służyć, i ławki proste już zbito, okna zasłonięto kocami, ruch i gwar na wszystkie strony się rozchodzi...

— A spieszcie się, spieszcie — ochrypłym od wichru głosem ryknie komendant-kucharz, karabin odstawiwszy pod ścianę, a w rękach dzierży olbrzymią warzechę, jakby maczugę.

— Spieszcie się, by nim gwiazda zeszła, do stołu można zasiąść.

Paczki świąteczne, przysłane od ukochanych, czasem od nieznanych, na gwałt rozpakuwują, i darowane im skarby na „Gwiazdkę“ składają na ziemię, opłatki na stół położone, na sianku świeżem, co dopiero z pod pyska konika ułańskiego zarekwirowanem. Ruszył łbem ułański konik, kiedy mu piechur z pod nozdrzy sianko sprzątnął, powiódł smutnie wiernemi swemi oczami i jakby się dorozumiał, że to Dzieciątku pod żłobek, bo zadrżał radośnie, zdając się mówić:

— Dejcie, dejcie Dzieciątku do żłóbka, dejcie, moje sianko!

Już i gromnice chłopskie, co to na Matkę Boską Gromniczną z za obrazu się wyciąga, święconą wodą w kościele kropi, a dziwnym trafem w plecakach żołnierskich są dziś przechowywane, jak relikwie ze zburzonych chat, na stole już stoją i kiedy Jutrznia-gwiazda zabłyśnie, zaświecą i one przy tej uczcie — żołnierskiej wigilii.

A potem, potem, po wigilii, powędrują z powrotem do nigdy nie zapełnionego plecaka, spocznie tam na dnie wigilijna gromnica, bo przyda się w polu, wśród walki, gdy smutkiem przepełniona dusza żołnierska zapragnie skostniałą od zimna ręką skreślić parę słów do ukochanych... gdy nocą rannego kolegę trzeba opatrzyć lub mu w chwili konania zaświecić i ostatni raz popatrzeć w oczy kochanego towarzysza-druha, myśl ostatnią z gasnących źrenic wyczytać, aby przesłać ostatnie nieme już wyrazy ukochanym, ostatni może już szept:

— Po...wiedz... żem o... nich myślał... i o Pol... sce... Zanieść... im... ostat...nie... mo...je...

Więc idzie z powrotem gromnica chłopska do plecaka, jak relikwia ze zburzonych chat...

Wieczór zapada...

Zabłysła Jutrznia, piechury w mig zapalili święcę, zaproszony komendant ujął w szorstkie ręce opłatek, żołnierze, wyciągnięci jak struny, czekają na jago słowa, trzymając w ręku opłatki lub kawał żołnierskiego, czarnego chleba.

— Chłopcy! — zacznie komendant szorstkim, rubasznym, ostrym głosem, z poza którego wygląda rozlżawienie, płacz stalowej duszy, która nie dopuści łzy do oka, jeno ukryje ją w sercu głęboko, jeno zadrży nieznacznie głos...

— Chłopcy! — powtórzy dobitnie. — Druga to nasza wigilia w walce ze śmiertelnym naszym wrogiem. Przeszliście ze mną, przebiegliście Polskę od Karpat począwszy, z karabinem w dłoni ścigaliście wroga, dotarliśmy aż tu do pińskich błot, niestrudzeni, nieustraszeni na nic, bo was miłość Ojczyzny tu przywiodła, kazała wytrwać, kazała cierpieć i walczyć, aż do ostatniego tchu. Wy nie z tych, co Polskę mają na ustach, a w sercu obojętność głuchą, wy z tych, co dzierżycie rozwiniętą chorągiew Polski i karabin i przeto bracia moi, żołnierze moi, druhowie wierni, cześć wam... Nie mogę mówić, łza w sercu mi usiadła, w kamień się przemieniła — złożę wam przeto żołnierskie życzenia: życzę, obyście przez te dni męki, przez trud i śmierć kolegów dożyli chwili, w której krzyknąć będziemy mogli z serca i duszy: Oto spełniliśmy swój obowiązek, oto wytrwaliśmy, Ojczyzna dziś wolna od wroga, oto wyzwolona Polska...

Skończył komendant, splotły się poorane tru-

dami dłonie, zmarzłe przytuliły się do siebie usta, rozplątały się języki i otworzyły serca...

Zasiadają do stołu według szarż. Bo nużby coś było, nużby głośniej zagrzmiały armaty, nużby jakie ułanisko przywaliło z meldunkiem i trzeba się będzie piorunem zerwać, wszystko w kąt rzucić, pochwycić szablisko czy karabin i lecieć duchem na wroga.

Więc według szarż. Na ojcowskiem miejscu komendant, obok adjutant matczyne zajmuje miejsce, a żołnierzyska pousiadali wokoło, tam gdzie rodzinka zwykle siada.

Kucharz się kulinarną popisuje sztuką...

Więc idzie zupa, co ją czuć kotłem-wiatrem, która przedziwnie smakuje, gdy z pustym doń zabierasz się żołądkiem, trzęsą się nad nią wąsiska, trzęsie się nad nią lekki puszek młodzieńca, aby ją jaknajprędzej połknąć, bo tam dalsze czekają przysmaki.

Idzie więc jakiś turecko-grecki bigos, co wszystko w nim świętalnego znaleźć można: wędlin rozmaitych szczątki, okruchy ciast, cukru kawałek i suchą gałązkę drzewa, która, gdy ułani rąbali drzewo, wpadła i utonęła w kotle. Ale smakuje to, aż się uszy trzęsą, a oczy łapczywie oglądają dno kotła, czy się co nie zostało jeszcze...

A i ryba wigilijna może pojawi się na półmisku blaszanym, może z paczki gwiazdkowej wydobyta, może ze stawu, któremu granat pokrywę-lód wyłupał — uwędzona przez kuchmistrza-żołnierza, który w „cywilu" pędzel malarski dzierżył w dłoni, a teraz odstawiwszy na bok karabin, popisuje się sztuką kulinarną.

W rogu chaty skrzy się choinka, prawdziwym przysypana śniegiem, który powoli tając, srebrnobiałe upuszcza krople na glinianą podłogę chłopską. Powieszali na niej krety-piechury wstążki kolorowego papieru i kulę-niszczycielkę, jakby łakoć jaki cukrowy, kulę, która może z rany wyjętą została, szyszki brunatne sosen na sznureczku wiszą, jakby duże włoskie orzechy, i co żołnierz mógł dać, to powiesił na tej choince: więc list serdeczny od ukochanych, na który nieraz długie czekał miesiące, więc kule, które mu ciało podziurawiły i słodycz bolu za Ojczyznę przypominają, więc rozmaite drobiazgi, które na dnie jego plecaka ukryte spoczywały...

I choinka skrzy się tymi świecidełkami, kawałki świecy-gromnicy, wetknięte w gałązki drzew, miłym płomykiem płoną i już kolędnicy skupili się, aby zawtórować słowom pieśni, gdy się od wigilijnego stołu wstanie po skończonej wieczerzy.

Nachylą się menażki przed olbrzymim kotłem, bo herbata gorąca zakończy ucztę.

Komendant wówczas wezwie: „Chłopcy, zaśpiewać tam kolędę" i podda pierwszy ton.

Zagrzmi pieśń kolędy, rozejdzie się dalekiem echem, aż do okopów moskiewskich i mimo potężnego huku armat nie przycichnie ani na chwilę...

Aż wkońcu krzyknie na nich umurdzany kuchmistrz:

— Chłopcy! na Pasterkę trzeba iść... Inna ci teraz będzie Pasterka. Kotły brać, opłatek i karabin i za mną marsz do okopów, zaniesiem kolegom do okopu i opłatek i jadło i rum, bo tam do szturmu nie długo ich trąbka wezwie... Trzeba ich na drogę wieczności posilić i z opłatkiem się połamać...

I jak chadzali z matką, z ojcem, z żonami i dziećmi, na Pasterkę, tak pójdę z komendantem do braci w okopach, którzy w wieczór wigilijny służbę pełnią, aby się z nimi przed szturmem opłatkiem połamać, strawą podzielić, serdeczność wspólnej doli i myśli wysłowić...

I jak chadzali z ojcem i matką na Pasterkę, pójdą z opłatkiem do okopów... i przy łamaniu się, myśli ich popłyną tam, gdzie serce ich zostało... do ukochanych...

O, bo i dla niejednego wieczór wigilijny Bożego Narodzenia — jest wieczorem wigilijnym kresu jego życia.

Piotrków, 1. grudnia 1915 r.

Ameryka Polsce.

Gdy cała Europa pławi się we krwi, Ameryka jest tylko widzem tej najstraszniejszej w dziejach pożogi wojennej. Tam też społeczeństwo polskie — czwarta dzielnica Polski — spieszy z pomocą swym rodakom tak, jak może, niosąc ofiarny grosz na rzecz Ojczyzny, zniszczonej w ogniu walki i wydanej na łup nędzy i głodu. Wszystkie amerykańskie organizacye polskie, bez względu na różnice partyjne, rozwijają z gorącem sercem i energią akcyę na rzecz ofiar wojny w Polsce. Akcya ta nie ogranicza się tylko do zbierania ofiar wśród Polaków, ale zatacza szersze kręgi wśrod społeczeństwa amerykańskiego.

Obok Paderewskiego, który w tym kierunku położył olbrzymie zasługi w obliczu całego narodu polskiego, pracuje osobno dla zdobycia funduszów na rzecz ofiar w Polsce p. Marcelina Sembrich-Kochańska. Założyła ona „American Polish Relief Committee", którego jest przewodniczącą. Znakomita artystka urządza przedstawienia, koncerty i odczyty, sama też wygłasza odczyty o Polsce, żeby Amerykanów zaznajomić z historyą Polski i wzbudzić sympatye dla swego narodu. Dotąd zebrała p. Sembrich-Kochańska około 200.000 dolarów, co jest jednak niczem w porównaniu z 30 milionami, zebranymi w Ameryce na Belgię, na którą Amerykanie dają chętniej, jako na wroga Niemiec.

Między innemi urządziła p. Sembrich-Kochańska dnia 6. listopada w Nowym Jorku i Brooklynie „Polish Flag day", do czego zmobilizowała do pomocy około tysiąc pań i panien, które sprzedawały



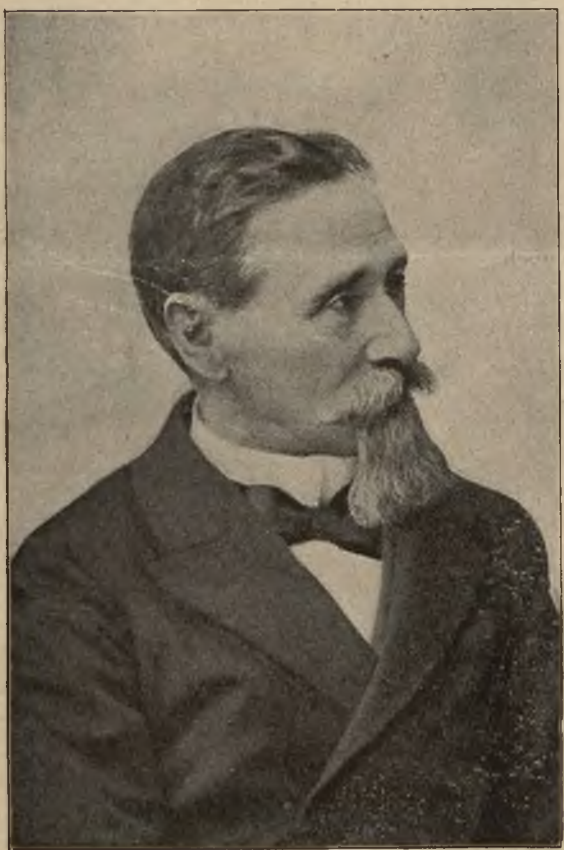
Ameryka Polsce: Chór Amerykanek pod kierunkiem p. Sembrich-Kochańskiej śpiewa po polsku „Jeszcze Polska nie zginęła" na koncercie w Las Placid. Przy fortepianie akompaniator światowej sławy La Forge

różne emblematy polskie, orzełki i t. p., a w teatrach odbyły się różne przedstawienia na ten cel.

Jeszcze przedtem, we wrześniu, zorganizowała p. Sembrich-Kochańska w swojej posiadłości Las Placid koncert ogrodowy w lesie, w którym urządzono rodzaj teatrzyku. Oprócz p. Kochańskiej popisywał się chór dam z towarzystwa, które znakomita artystka wyuczyła po polsku „Z dymem pożarów“, „Jeszcze Polska nie zginęła“ i kilka pieśni ludowych. Zaznaczyć przytem należy, że Amerykanki wymawiały doskonale po polsku.

Koncert ten zgromadził około 20.000 osób, a dochód przyniósł 6000 dolarów.

W dzisiejszym numerze dajemy illustracye z tego właśnie koncertu. Na jednej z nich widzimy p. Sembrich Kochańską ze swoim chórem, a druga przedstawia tłumy zgromadzone na koncercie.



Zgon zasłużonego obywatela: S. p. profesor dr. Maciej Leon Jakubowski, były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektor szpitala św. Ludwika.



Z francuskiego frontu: Zbombardowany las.

Banknoty wojenne.

W czasie toczącej się obecnie wojny okazał się w wielu bardzo miejscowościach zupełny brak monety obiegowej, wywołany przedewszystkiem wstrzymaniem wypłat przez instytucye finansowe, następnie zaś gromadzeniem ponad potrzebę gotówki przez poszczególne osoby. Zwłaszcza brak drobnej monety dawał się niejednokrotnie we znaki i to do tego stopnia, że w niektórych okolicach na pewien czas wrócono do handlu zamiennego, gdyż inaczej nie można było nabyć najniezbędniejszych przedmiotów.

Brak ten dawał się odczuć nie tylko na samym terenie walki i w jego bezpośredniem sąsiedztwie, choć wojsko płaciło wszystko gotówką, ale i w dalszych okolicach, n. p. w Krakowie, gdzie przez pewien czas trudno się było doprosić o srebrną koronę. Kto bodaj jedną dostał w swe ręce, chował ją głęboko, rozpuszczono bowiem wieść, że papiery stracą zupełnie swą wartość.

I trzeba było dopiero użyć podstępu, aby nastały normalne stosunki. W kilku pismach ogłoszono wiadomość, że nowe srebrne korony pojawią się w listopadzie, a równocześnie stare stracą zupełnie swą wartość obiegową i będą mogły być przyjmowane tylko w wartości swego srebra.

To poskutkowało. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się masa koron srebrnych, pochowanych, ukrytych dotąd gdzieś w głębi skrzyń i kufrów.

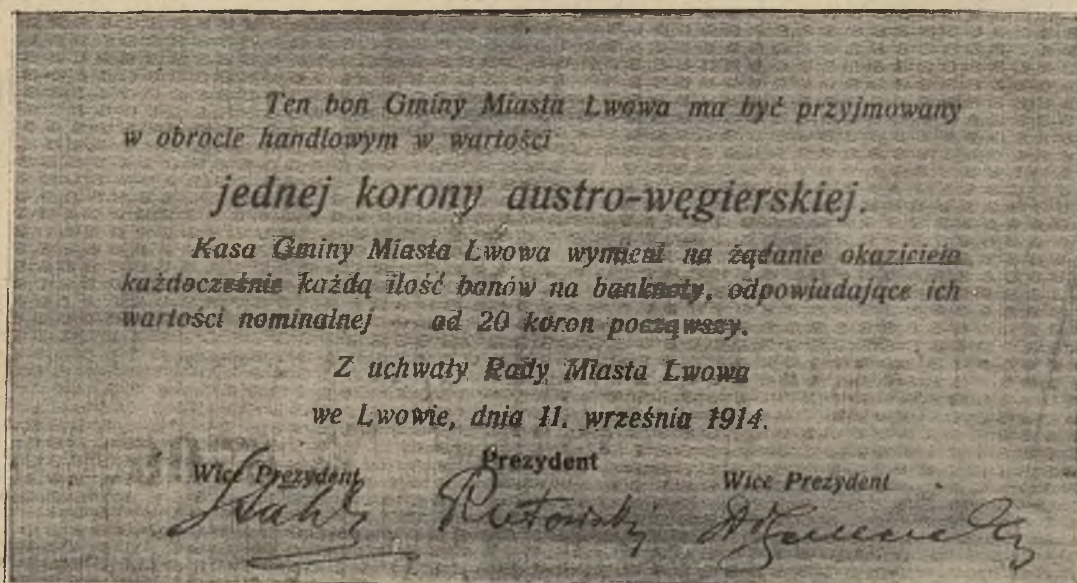
Gorzej przecież było we Lwowie. Tam, w chwili inwazyi rosyjskiej, brakło zupełnie monety obiegowej i to tak kruszcowej, jak i papierowej. Aby temu brakowi zapobiedz, niestrudzone prezydyum miasta z zasłużonym prezydentem, drem Rutowskim na czele, wydało za pozwoleniem „wojennego generał-gubernatora Galicyi“ asygnaty kasowe, opiewające na sto koron w walucie austryackiej, oraz bony jednokoronowe, za które gmina miasta Lwowa objęła zupełną gwarancyę.

Wojenne te monety znalazły ogólne zastosowanie i przyczyniły się wielce do ożywienia ruchu handlowego i przemysłowego. Dziś, po nastaniu normalnych stosunków, zostają wycofane z obiegu,



Ameryka Polsce: Tłumy publiczności na koncercie w Las Placid, który przyniósł 6000 dolarów dla ofiar wojny w Polsce.





Banknoty wojenne: Banknot jednokoronowy, wydany przez gminę miasta Lwowa w czasie inwazyi rosyjskiej.

a kiedyś stanowić będą w zbiorach numizmatycznych piękną pamiątkę tych gorących czasów.

Kształtem, rysunkiem i kolorem przypomina asygnata stukoronowa banknot storublowy, bon jednokoronowy jest tej samej wielkości co nasze banknoty dwukoronowe.

Oprócz tych dwu wojennych banknotów podajemy także reprodukcyę kwitu Częstochowskiego Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, opiewającego na pięćdziesiąt kopiejek, które powyżej wymienione Towarzystwo obowiązuje się wypłacić w gotówce okazicielowi za zwrotem kwitu „w ciągu trzech miesięcy po zawarciu pokoju“.

Chiny znowu cesarstwem.

Tajemnicze, niezbadane, a tak różniące się od kultury całego świata, państwo smoka — przed kilku zaledwie laty wprawiło w zdumienie cały świat — przekształcając się na republikę! Najkonserwatywniejszy na świecie naród, zachowujący zwyczaje i przesądy z przed tysięcy lat — za jednym zamachem stanął pod sztandarem republikańskim. Pierwszym prezydentem tej egzotycznej a największej na świecie republiki został najwybitniejszy a głośny i w całej Europie mąż stanu Chin, Juanszikaj...

Ale jak gwałtownie Chiny przekształciły się na



Ameryka Polsce: Marcelina Sembrich-Kochańska.

republikę, tak również niespodziewanie powróciły znowu do rządów monarchicznych. Przewrót ten dokonał się tak samo gładko, jak i poprzednie usunięcie dynastyi mandżurskiej. Według informacyi, jakie nadeszły telegraficznie, „Juanszikaj zgodził się na przyjęcie godności cesarza“ i w ten sposób Chiny stały się znowu cesarstwem — pod rządami Juanszikaja.

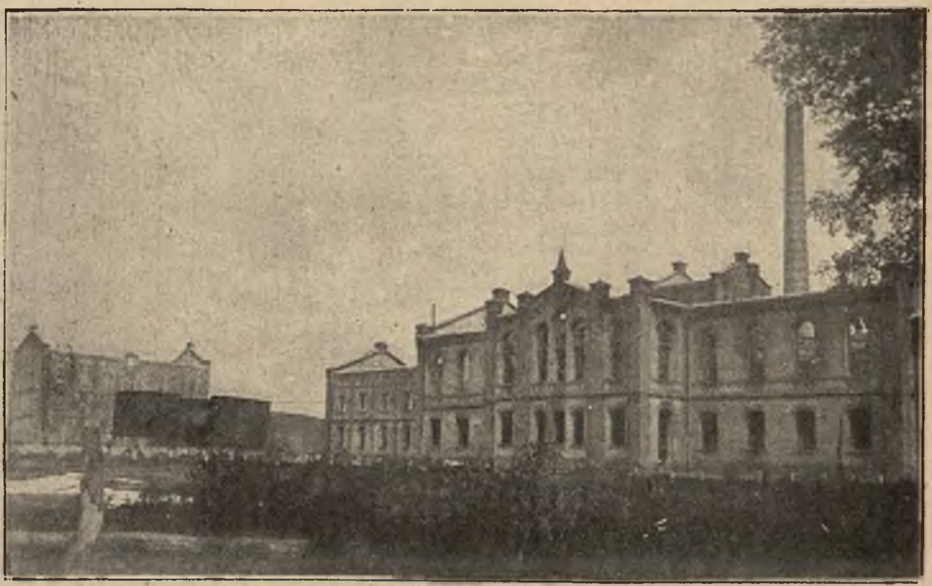
Nowy cesarz Chin urodził się w marcu 1859 r. w posiadłości wiejskiej ojca swojego, w miejscowość Hsiancheng, w prowincyi Honan. Ojciec jego umarł wcześnie, pozostawiwszy sześciu synów. Juanszikaj, ukończywszy naukę elementarną, wstąpił do wojska. Licząc 23 lata życia, został podczas powstania w Korei wysłany na czele oddziału wojskowego do Seulu, stolicy Korei. W roku 1885 został zamianowany rezydentem generalnym w Seulu



Banknoty wojenne: Stukoronówka, wydana przez gminę miasta Lwowa w czasie inwazyi rosyjskiej.



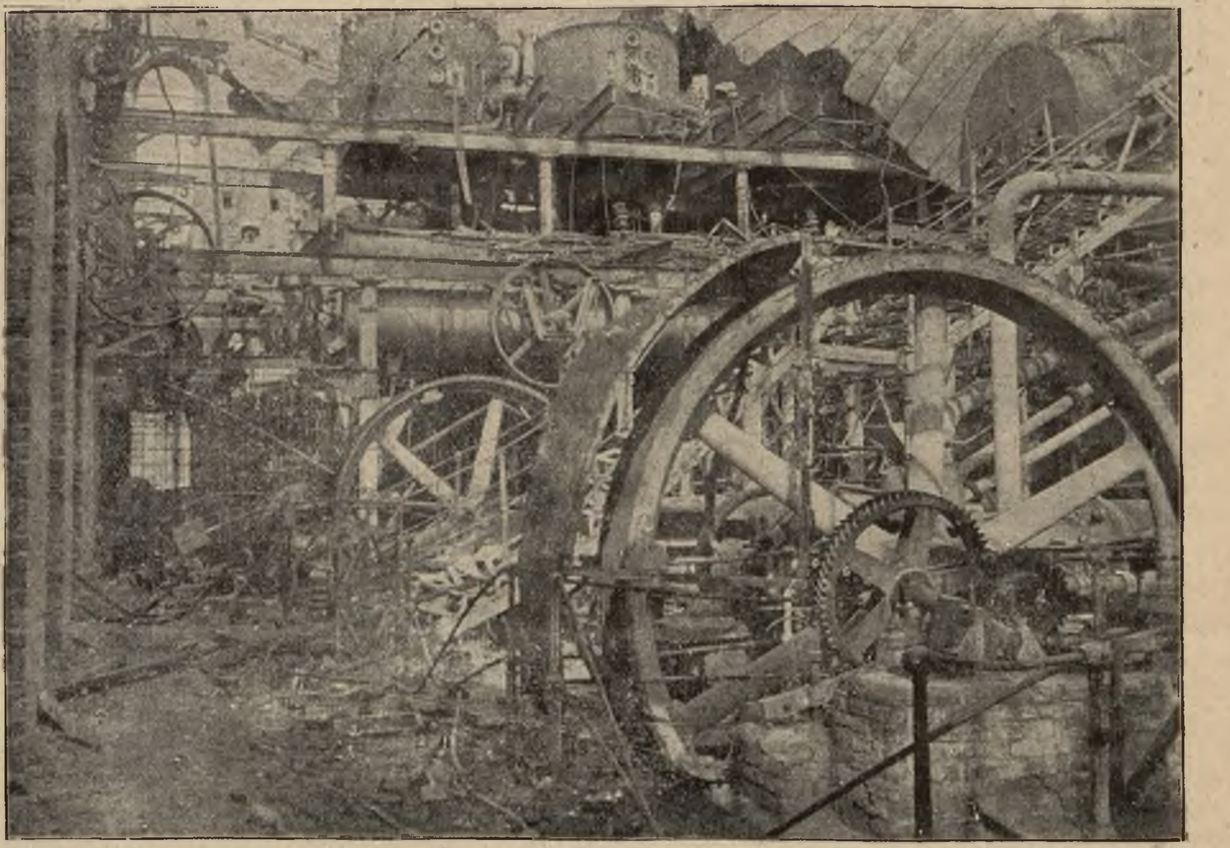
Banknoty wojenne: Banknot pięćdziesiąt-kopiejkowy, wydany przez Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe w Częstochowie.



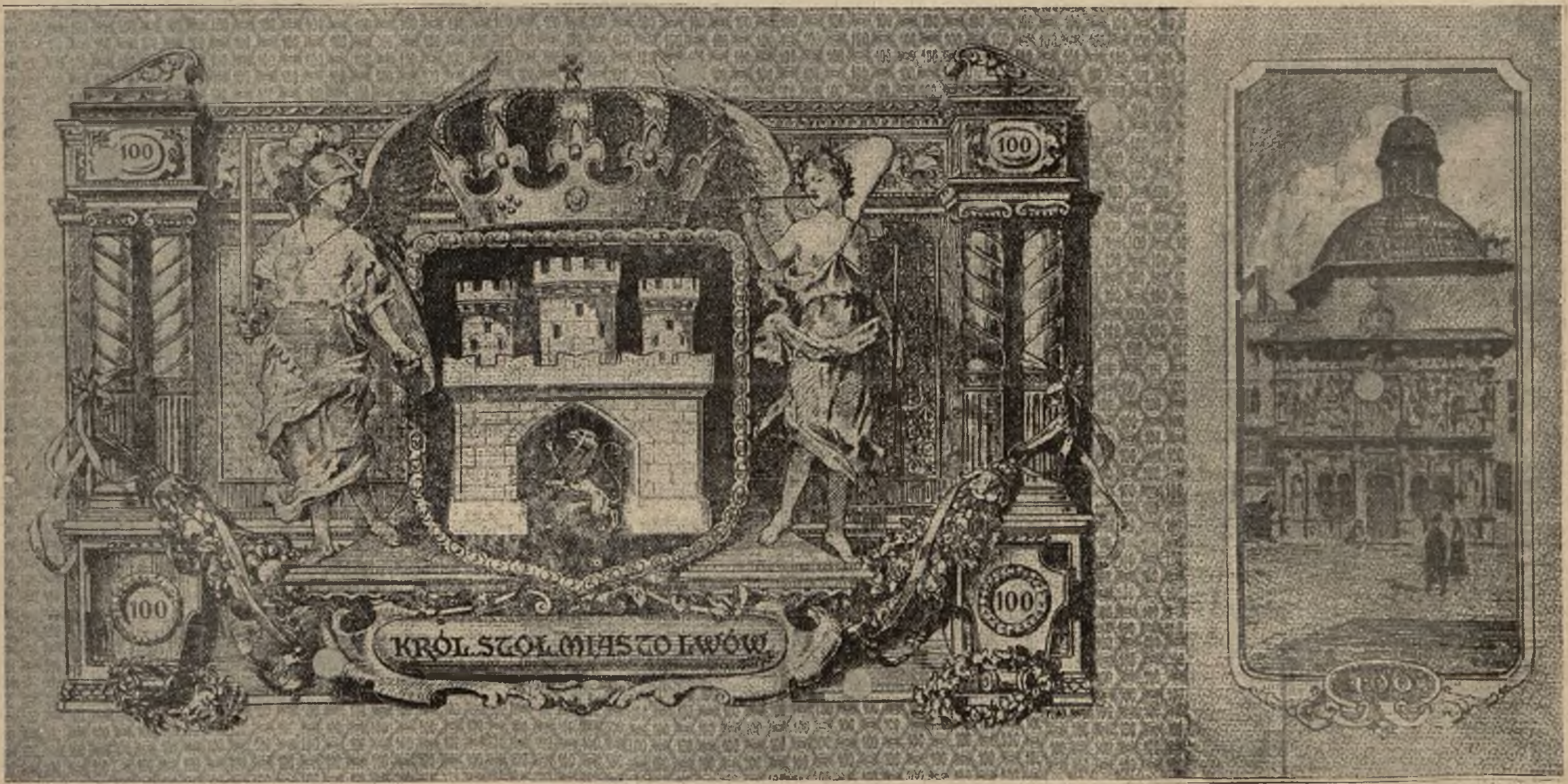
Z polskich pobojowisk: Zewnętrzny widok spalonej cukrowni w Strzyżowie (Król. Pol.) (Fot. M. Gottman).

dzięki poparciu Lihungczanga. Wojna japońsko-chińska w roku 1895 położyła kres działalności jego w Korei. W dwa lata później został Juanszikaj komisarzem sprawiedliwości przy gubernatorze prowincyi Czili. W r. 1898 cesarz chiński Kuangsii rozkazał Juanszikajowi zamordować gubernatora prowincyi Czili, nazwiskiem Jonglu, kuzyna cesarzowej wdowy. Juanszikaj pozornie zgodził się na ten plan, ale potajemnie ostrzegł Jonglu, który zawiadomił o tem cesarzowę wdowę. Kuangsii został uwięziony, a rządy objęła cesarzowa wdowa, przybrawszy sobie, jako doradcę, Juanszikaja. Podczas powstania bokserów w r. 1900 Juanszikaj umiał skłonić gubernatora Szantungu do neutralnego stanowiska wobec obcych, a dzięki swojemu przezornemu postępowaniu został gubernatorem prowincyi Czili, a tem samem naczelnym wodzem najlepiej zorganizowanych wojsk chińskich. Na tem stanowisku zreorganizował Juanszikaj administracyę, szkolnictwo i armię w prowincyi Czili. Działalność reformatorska Juanszikaja obudziła podejrzenie w cesarzowej, która chciała pozbyć się go nawet przez skrytobójcze morderstwo. Dzięki temu, że Juanszikaj dał ks. Czingowi znaczną kwotę pieniężną — podobno dziesięć milionów koron — zdołał uratować życie, ale stracił wszelki wpływ, aczkolwiek został ministrem spraw zagranicznych.

W grudniu 1908 roku umarł cesarz, a wkrótce potem cesarzowa śmiercią tajemniczą. W kilka miesięcy Juanszikaj poszedł na wygnanie. W trzy lata później wybuchło powstanie w całych Chinach i wtedy

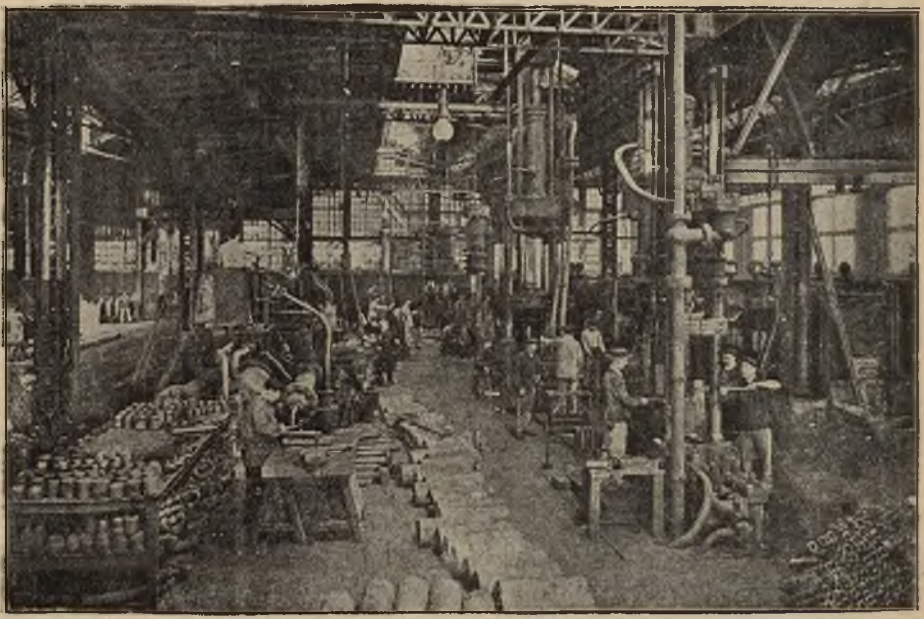


Z polskich pobojowisk: Zburzona hala maszyn cukrowni w Strzyżowie (Królestwo Polskie). (Fot M Gottman).



Banknoty wojenne: Stukoronówka, wydana przez gminę miasta Lwowa w czasie inwazyi rosyjskiej.





Ostateczne montowanie pocisków armatnich wielkiego kalibru. **Fabryka broni w Creusot:** Napełnianie pocisków armatnich

wezwano Juanszikaja, ażeby powrócił. W listopadzie 1911 roku odbył Juanszikaj tryumfalny wjazd do Pekinu. Dynastya mandżurska zrzekła się tronu, a dnia 1 stycznia 1912 roku Chiny zostały obwołane republiką. W trzy miesiące później po zjednoczeniu się północnych i południowych Chin, został Juanszikaj prezydentem republiki chińskiej. Obecnie zasiądzie na tronie cesarskim.

Juanszikaj ma siedm żon i 23 żyjących dzieci — 11 chłopców i 12 dziewcząt. Jedną z córek wydał Juanszikaj za byłego cesarza Chin, przez co ułatwił sobie wstąpienie na tron.



Fabryka broni w Creusot: Nabijanie armaty francuskiej.



Fabryka broni w Creusot: Armata francuska gotowa do strzału.

Fabryka broni w Creusot.

Tem, czem dla mocarstw centralnych są fabryki broni w Essen u Kruppa i zakłady Skody w Pilźnie, jest dla czwórporozumienia fabryka broni i amunicyi w Creusot, mieście okręgowem w departamencie Saony i Loary.

Znajdują się tutaj kolosalne zakłady metalurgiczne, jedne z największych w Europie, oraz kopalnie węgla i żelaza.

Początek tamtejszych fabryk datuje się z r. 1784. W czasie rewolucyi utworzono w Creusot odlewarnię dział i kul, właściwy zaś rozwój miasta i okolicy przypada na rok 1837, to jest od czasu założenia tutaj przez Schneidra i Spółkę zakładów przemysłowych, zatrudniających stale ponad dwadzieścia tysięcy robotników i rozporządzających trzystu kilkudziesięciu maszynami parowemi o sile ponad dwadzieścia tysięcy HP.



Z polskich pobojowisk: Zgliszcza w Kraśniku.
(Fot. M. Gottmann).

Produkcya dziesięciu okolicznych kopalni węgli wynosiła w r. 1888 około półtora miliona ton, żelaza surowego wydobyto w tym samym czasie dwieście tysięcy ton.

Wobec coraz większego i stałego rozwoju tamtejszych zakładów, zwiększa się też i zaludnienie i dobrobyt mieszkańców okręgu. Sama miejscowość Creusot, która w r. 1846 liczyła niewiele ponad cztery tysiące mieszkańców, wykazuje ich w roku 1891 do trzydziestu tysięcy.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

24

Markiz uścisnął serdecznie dłoń Amerykanina.

— Niech pan mówi dalej, panie Allan, przyznaję panu zupełne prawo do mieszania się, jak się pan sam wyraża, w nieswoje rzeczy. Jeżeli mój syn zostanie uratowany, to czuję, że stanie się to jedynie za pośrednictwem pana. Niechże więc pan mówi do mnie, jak do brata.

— A więc panie de Kermor, to nie febra zabierze panu syna, a mnie przyjaciela, zdala od rodziny jego i jego ojczyzny. Z tej choroby przy wielkich staraniach, których tu mu nie brakną, jeszcze uleczyć się może. Ale to zło, które nurtuje Henryka i stanie się na pewno jego zgubą, to miłość... to ta młoda dziewczyna z portretu... Jest ona jego złem i równocześnie jedynem zbawieniem. Może panu wydaje się to przesadnem, gdyż w tym wieku nie rozumie się już i nie odczuwa tak żywo tych rzeczy, ale ja zdaleka przebywając od ludzi, w zajęciu, które konserwuje młodość duszy — rozumiem go doskonale i rzecz tę biorę poważnie, tak, jak na to zasługuje.

— A jednak jestem zmuszony niestety powtórzyć panu, że niema w tem ratunku dla niego... to jest niemożliwe... wierzaj mi... ten cud, o którym marzysz dla Henryka, jest niemożliwy!

— Tak, rozumiem doskonale dlaczego! Ta dziewczyna jest niskiego pochodzenia, nieprawdaż? Wyraz jej twarzy i prostota wskazują to... no i zapewne nie posiada stu tysięcy milionów posagu, to jest oczywista! Ah! te przeklęte uprzedzenia kastowe, te zbrodnie popełniane przeciw naturze i zdrowemu rozsądkowi! Szczęście dziecka jest wobec nich błahostką!

Allan, wypowiedziawszy te słowa, zaczął wielkimi krokami przebiegać pokój, nie mogąc już opanować wzburzenia. Wkońcu zatrzymał się przed panem de Kermor i krzyżując ręce na piersiach, zapytał surowym głosem:

— Więc woli pan poświęcić syna i utracić go na zawsze dla głupich światowych obliczeń?

Markiz odczuł obelgę, zawartą w tych słowach, lecz spojrzawszy na wyniosłą i dumną postać Allana stojącego przed nim, nie miał odwagi silniej zaprotestować.

— Myli się pan, panie Allan — odparł z odcieniem niezadowolenia i godności — jestem gotów oczyścić się przed panem z zarzutu, który mi pan czyni, czegobym nigdy nie zrobił dla kogo innego. Jeżeli Janina le Brenn...

Allan cofnął się w tył, jakgdyby przed ciosem nagle odebranym i z przerażeniem spojrzał na markiza.

— Janina le Brenn? — powtórzył zdumiony, patrząc prosto w oczy mówiącego, z wyrazem ciekawości.

— Tak. Tak się nazywa ta młoda dziewczyna, o której obecnie mówimy.

— Ah! więc pan ją zna? Zna ją pan dobrze?

— Zanadto dobrze, niestety!

Zechce pan może nie obrażać jej w ten sposób... wytłumaczę panu zaraz dla jakich powodów... Ale na razie proszę, ani słowa o niej w tym tonie.

— Nie obrażam nigdy kobiet, panie Allan, nawet lituję się nad dziewczętami.

— Ubogiemi, to się rozumie. Ta, o której mówimy, pochodzi z Bretanii.

— Z mojego majątku nawet, z Roche-Kermor. Domek jej mieści się nie daleko zamku.

— Pod skałą Per-Roche?

— Zna pan widocznie dobrze te strony?

— Więc — zapytał Amerykanin drżącym głosem — rodzina le Brenn nie wygasła jeszcze zupełnie?

— Pozostała jeszcze ta sierota. Dzięki Bogu, więcej ich niema.

Allan z wściekłością wyrwał fotografię Janiny z rąk pana de Kermor.

— Dzięki Bogu! — zawołał z gniewem — Dzięki Bogu! Pan ośmiela się mówić w ten sposób o tej rodzinie! Co za obelga okrutna i niesprawiedliwa! I to mówi markiz de Kermor, szlachcic i potomek sławnego rodu francuskiego! Wolałby pan nieprawdaż, żeby i ona już nie żyła i nie stanęła w poprzek wysokim zamiarom pańskim! Wolałby pan, aby z całej uczciwej rodziny le Brennów nie pozostało już ani śladu, dla pańskiej przyjemności i spokoju! Proszę! Ależ to wspaniała historya! Pan markiz de Kermor powziął polowanie na miliony i biada temu, kto się ośmieli wejść mu w drogę! Cóż to jest nazwisko le Brenn? Usunie się je łatwo, kiedy przeszkadzać zacznie zanadto!

Roześmiał się z nienawiścią i postąpił ku markizowi z groźnymi błyskami w oczach, lecz uspokoił się nagle i całą siłą woli urobioną przez lata, zapanował nad sobą i mówić zaczął już spokojniejszym głosem.

— Panie markizie de Kermor, zechciej sobie przypomnieć, że le Brennowie byli zawsze dzielnymi korsarzami, którym nadano niegdyś szlachectwo za waleczne czyny odniesione podczas jednej z wojen. Rodzina ta, jak każda rodzina marynarzy, była zawsze ubogą. Ale to jeszcze nie racya, życzyć sobie śmierci tej biednej dziewczyny, ostatniej z ich rodu.

Markiz uczynił ruch, jakgdyby chciał przerwać jego słowa.

— Czy się pan kiedy głębiej nad tem zastanowił, panie markizie — zapytał dalej nieubłagany Allan.

— Nie zrozumieliśmy się, oto wszystko — odezwał się w końcu pan de Kermor. — Poza tem wszystkiem jest jedna kwestya, której nie poruszyliśmy dotąd. Kwestya honoru.

— Honor? — zawołał Allan — To kwestya już przecięta! Ten związek nie może stać się mezaliansem. Le Brennowie warci są Kermorów!

— Ale któż panu mówi o tem? Posłuchaj mnie lepiej.

— Więc chodzi o pieniądze! Tu się zrozumimy, jak sądzę. Mam dla pana miłą niespodziankę, panie markizie. Janina le Brenn nie jest tak ubogą, jak pan sądzi. Janina le Brenn posiada... Ale ileż to baron de Bressien daje za swoją córką? Niechby sto milionów? Wiedz pan o tem, że ta młoda dziewczyna, ta ostatnia z biednej rodziny marynarzy, mieć będzie dwa razy tyle! Czy to dosyć przynajmniej?

Markiz de Kermor nie wiedział już co myśleć. Nie wiedział, czy Allan, ten sławny podróżnik i eksploatator oszalał nagle, czy też chce się zabawić jego kosztem. Nasuwało mu się również przypuszczenie, że stanął przed rzeczywistością zdumiewającą i niespodziewaną, która niekiedy spotyka ludzi najmniej do nich przygotowanych, lecz postanowił trzymać się w rezerwie i nie dać poznać przeciwnikowi miotającego nim zdumienia. Zresztą i Allan, który wpatrywał się w niego uporczywie i badawczo, wydawał się być niemniej od niego wzruszonym.

— Przypuśćmy w końcu — odezwał się po chwili, ze spokojną powagą — że Janina le Brenn jest tak znakomicie uposażona...

Allan przerwał mu natychmiast.

— Przypuśćmy — wybuchnął gwałtownie. — Pan, zdaje się, nie przywiązuje wielkiej wagi do słów moich. Potrzeba panu dowodów! I owszem, postawmy kwestye jasno, będzie to lepiej i dla mnie i dla pana. Otóż jest tak:

Janina le Brenn ma starego krewnego, bardzo bliższego wuja, którego jest jedyną spadkobierczynią. Rozumie mnie pan dobrze, panie de Kermor? Jest siostrzenicą pewnego Franciszka Allana le Brenn, który przepadł niedyś bez wieści i o którym sądzą, że już nie żyje. Otóż ten Franciszek le Brenn przez ten czas pracował i działał. Dzisiaj wypłynął znowu na widownię świata i nazywa się dla ludzi Great Allan. I jako Great Allan, może panu powiedzieć, że Janina le Brenn posiada dwa kroć sto milionów posagu. Jeżeli pan wątpi jeszcze, to proszę się bezzwłocznie zwrócić do pierwszego lepszego banku w Stanach Zjednoczonych, a stamtąd poinformują pana najlepiej. Czy to wystarcza?

— Niestety, nie... Jest jeszcze coś innego, tylko pozwólże mi pan nareszcie mówić.

— Słucham pana.

— Nie potrzebuję chyba zapewniać pana, że nie wiedziałem nic o tem pokrewieństwie, które mi pan odkrywa tak nagle. To, co mi pan mówił o rodzinie le Brenn, znanem mi było już dawno. Byli to zawsze ludzie uczciwi, pracowici. Ostatni z tego rodu, któregośmy znali, był Iwon le Brenn, który zginął bohaterską śmiercią.

— Ivon był moim bratem — odparł Allan poważnie — to był człowiek obowiązku i sumienia — ja zaś zamiast krwi, miałem żywe srebro w żyłach. Opuściłem rodzinę i kraj jeszcze w dziecinnych latach i zaangażowałem się jako chłopiec okrętowy. Zwiedziłem kawał świata, ale nie chciałem z pustą kieszenią powracać do stron swoich rodzinnych. Szczęście uśmiechnęło się do mnie w późnych latach, kiedy już głowę miałem przyprószoną siwizną, ot tak, jakgdyby chciało zadrwić ze mnie. Bo na cóż mi był potrzebny majątek, kiedy sądziłem, że już nikt z moich nie żyje.

— Z wyjątkiem Janiny, córki Iwona, brata pańskiego.

— No i widzi pan markiz. Jestem jej wujem, ojcem prawie.

— Byliśmy jej opiekunami, ja i markiza, szczególniej ona. Uważała ją prawie za dziecko swoje.

— Co pan mowi?

— To, co jest koniecznem, aby pan zrozumiał sytuacyę. A więc to pokrewieństwo pana z nią, pamięć rodziny le Brenn i ten majątek nieprawdopodobny...

— Amerykański — zwykły majątek amerykański, to je zcze nic wielkiego.

— Niech i tak będzie. Nie wiedziałem o tem, a jednak słowem zaręczam panu, byłbym się zgodził nawet na mezalians.

— Wyczuwam szczerość w słowach pana, proszę dokończyć.

— Ale raz jeszcze jestem zmuszony powtórzyć, że to niemożliwe. I błagam pana, nie chciej się dowiadywać dlaczego.

Allan oddechał z trudem, przygotowany na cios jakiś dotkliwy i patrzał na markiza, blady i drżący jak dziecko.

— To byłaby za wielka radość — szepnął, przecierając czoło ręką — tak odrazu przyczynić się do szczęścia dwojga ludzi. I to ja, Allan, włóczęga bezdomny, miałbym zakończyć życie bez niepokoju i troski. Musi pan mieć słuszność, panie markizie, to niemożliwe. Jestem tylko zdolny do zbierania złota, z którem niewiem, co mam uczynić. A jednak muszę się dowiedzieć prawdy — kończył z ciężkiem westchnieniem. — Proszę, błagam, niech mi pan powie! Będzie to ostatnie w tem życiu rozczarowanie moje.

Markiz nie wiedział, jakich słów dobrać, aby nie urazić głębiej jeszcze tego człowieka, którego pomimo woli podziwiać i szanować musiał.

— Janina pozostała sama na świecie — zaczął, wahając się niepewnym głosem — wystawiona na wszystkie niebezpieczeństwa, chciała żyć, poznać Paryż, a to miasto staje się zgubą dla silniejszych od niej...

— Zgaduję. Czy pan markiz jest w posiadaniu pewnych faktów?

— Sekretarz mój poinformował mnie co do niej, od chwili zniknięcia mojego syna. Żadnej wątpliwości tu być niemoże.

— Czy pan obdarza tego człowieka zupełnem zaufaniem?

— Tak jest, bez żadnych zastrzeżeń.

— A gdzież się ona znajduje obecnie?

— Powróciła do Roche-Kermor, idąc za radą markizy. Jest już tam od pewnego czasu.

— To szczególne! — szepnął Allan, spoglądając ze smutkiem na fotografię trzymaną w ręce. Pan markiz mówi mi o niej w ten sposób, a w oczach jej, pełnych prostoty i naiwności, czytam coś wręcz przeciwnego. Zdaje mi się może, że godną jest jeszcze uczciwego nazwiska le Brennów, że została niesprawiedliwie spotwarzoną. Zdaje się mówić, że przeszkodą była w dopełnieniu bogatego małżeństwa i że chciano pozbyć się jej za wszelką cenę! Oto, w co zaczynam wierzyć, panie de Kermor. To będzie może śmieszne w oczach pana, ta wiara w pewną spójność myśli między tą biedną dziewczyną a mną, a jednak przeczuwam, że kryje ona w sobie jakiś cichy dramat, który obowiązkiem jest moim usunąć.

W tej chwili od drzwi dobiegło mówiących ciężkie jakieś westchninnie i słowa wymówione przerywanym szeptem:

— Tak, tak, Allan ma szłuszność! Oh! Boże! Dziękuję ci, powracasz mi życie!

Z piersi obydwóch mężczyzn wybiegł przerażony okrzyk:

— Henryk! to Henryk! Słyszał wszystko!

Rzeczywiście chory, zbudzony żywą rozmową, dobiegającą go z drugiego pokoju i rozpoznawszy w jednym z mówiących ojca, usiadł na łóżku i mimowoli podsłuchał jego słowa. Zdziwiony i wzruszony tem, co usłyszał, zebrał wszystkie swoje siły, powstał z łóżka i narzuciwszy na siebie obszerny płaszcz flanelowy, przyczołgał się z trudem do drzwi, czepiając się mebli. Tam zaczajony wysłuchał całej rozmowy, z sercem przepełnionem nadzieją i radością bez granic. Zarzuty, którymi obarczano Janinę, rozwiewały się stopniowo pod wrażeniem gorących słów jego starego przyjaciela, a w duszy pozostało mu jedynie przeświadczenie o jego wielkiej, niezmienionej miłości!

Nie mogąc się już opanować, wysunął się z framugi drzwi i posunął się kilka kroków naprzód, szepcząc do Allana urywane słowa podziękowania i wdzięczności.

W tej chwili ujrzał go Allan i widząc bladość jego i osłabienie, pospieszył podtrzymać go ramieniem. Henryk nieprzytomny prawie z wrażenia objął go wychudłemi ramionami i rozpłakał się jak dziecko.

— Ojcze mój! ojcze! — szepnął, nie mogąc znaleść innych słów do wyrażenia swojej radości.

Markiza, widok ten poruszył głęboko. Uczuł nagły ból w sercu, będąc świadkiem ufności bezgranicznej i synowskiego przywiązania, jakiem obdarzał syn jego własny człowieka obcego, nie należącego do jego rodziny.

— Tak, moje dziecko — odezwał się Allan, nie rozumiejąc słów Henryka — ojciec twój jest — przybył właśnie przed chwilą, zawezwany przezemnie.

Ale młody człowiek odpowiedział poważnie i z naciskiem:

— Nie rozumie mnie pan, drogi panie Allanie. Ciebie to nazywam moim ojcem, bo dajesz mi nadzieję i radość, jakiej nie spodziewałem się już w życiu, bo jesteś ojcem Janiny i stając w jej obronie powracasz mnie do życia, które bez niej niema już dla mnie żadnej wartości.

Mówiąc to Henryk pochwycił dłoń swojego starego przyjaciela i chciał ją do ust przycisnąć, ale Allan uprzedził ten ruch i całując serdecznie w czoło, popchnął go lekko ku ojcu, mówiąc drżącym od wzruszenia głosem:

— Takie wielkie jak ty, dziecko, mój Henryku potrzebuje starań i opieki dwóch ojców.

Markiz, bledszy jeszcze od syna, przyjął go w ramiona i uścisnął w milczeniu, przysłaniając ręką oczy, aby nie ujrzał łez, które z nich nagle zabłysły.

Burza.

Skała Per-Roche, gdzie wznosi się skromny domek Janiny le Brenn, położona jest nad samym brzegiem oceanu, który ciężkie swoje fale rozbija o jej granitowe podnóże.

W chwili obecnej, w miejscu tem nie zasłoniętem niczem przed groźnemi uderzeniami morskiego huraganu, rozpanoszyła się od kilku godzin gwałtowna burza, wstrząsająca zajadle ścianami ubogiego rybackiego domku. Po zamglonem, jakgdyby przybliżonem niebie przepływają ciężkie, czarne chmury, a na wysokich czubkach spiętrzonych bałwanów kłęby białej piany odrywają się pasmami, rozciągając się korowodem plam jasnych po ciemnem i wzburzonem morzu. Powietrze całe przesycone jest mgłą dżdżystą, falującą jak płachta szara po przestworzu, z którego biegną dzikim potokiem szmery, plusk i ryczenie rozwścieklonych wód. W chaosie tych różnorodnych dźwięków zaledwie wybije się niekiedy żałosny jęk mew białych i rozpaczliwe nawoływania kormoranów wyrzuconych z gniazd swoich skalnych.

Na szczycie skały stoi Janka le Brenn, wpatrzona w to szalone rozpasanie się natury. Na twarzy jej nie widać przerażenia ni niepokoju. Burza morska nie obcym jest dla niej żywiołem, była ona towarzyszką jej pierwszych dziecinnych lat i dziś po raz pierwszy od powrotu swojego do rodzinnej wioski, wita ją, jak starą, dobrą znajomą.

— — — — — — — — — — —

Barykada, odebrawszy nareszcie od swojego wspólnika tak bardzo oczekiwaną zapłatę za zbrodnię, której miał się dopuścić, zapragnął teraz choć krótkiego wypoczynku i wytchnienia. Pragnął zapomnieć trochę o dniach przeżytych w więzieniu i nabrać sił do nowych swoich działań. A miał o czem myśleć. Najsamprzód musiał się pozbyć Janiny le Brenn, następnie córki starego posługacza, która ośmieliła się umknąć z jego ręki, zabierając ze sobą nie jedną z jego kompromitujących tajemnic. Zasługiwała na najcięższą karę, choćby z tego powodu, aby jej lekkomyślność stała się odstręczającym przykładem dla innych.

Po kilku dniach szerokiej zabawy w towarzystwie Totora i swoich sprzymierzeńców, Barykada osądził, że czas już zabrać się do roboty. W tym celu więc pewnego dnia wylądował na wybrzeżach Bretanii w okolicy Roche Kermor. Apasz nie chciał działać pospiesznie i na ślepo, aby raz jeszcze nie popsuć sprawy, która go już na dobre nudzić zaczynała. Urządził się więc w ten sposób, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń i nie pozostawić za sobą kompromitujących śladów. Mógł zatem nie zwracając niczyjej uwagi grasować po okolicy, badając teren, w roli kupca, czyniącego zakupna zboża i ryb. W ten sposób dotarł do Roche Kermor. Wiedział, że Janina go nie pozna, gdyż z owej nocnej napaści musiała zaledwie zachować słabe wspomnienie. Zresztą przez pewien czas śledził ją wraz z Totorem z daleka, nie zbliżając się do niej jeszcze.

Młoda dziewczyna zaś, pewna, że tu przynajmniej pośród znajomych i życzliwych jej ludzi nic złego stać się nie może, nie zwracała zbytniej uwagi na to, co się wokoło niej dziać mogło, zatopiona w przeżywaniu bolesnych wspomnień swojej nieszczęśliwej miłości.

Apasze łatwo zatem pojęli jej codzienny tryb życia. Przekonali się, że nic łatwiejszego jak wcisnąć się której nocy do jej domku i tam przedsięwziąć zamach, z dawna uplanowany. Lub też skorzystać, kiedy tak jak dziś właśnie, stoi na skale zapatrzona daleko przed siebie, zdala od ludzi, nie przypuszczająca ani na chwilę o możliwości grożącego jej niebezpieczeństwa.

Tę chwilę więc wybrał Barykada, od rana krążący koło swojej ofiary. Była jakgdyby rozmyślnie dla niego stworzona. Ryk burzy zagłuszy jej wołania. Jedno silniejsze pchnięcie, a rozszalałe fale morza pochłoną ją na zawsze.

W tej chwili właśnie oderwała wzrok od morza i smutnem spojrzeniem objęła fotografię trzymaną w ręce. Była to podobizna Henryka de Kermor, otrzymana od niego w czasie, kiedy wzajemna nić sympatyi zaczęła się pomiędzy nimi bezwiednie nawiązywać.

Barykada cicho stąpając, jak kot, podsunął się z tyłu do młodej i pochwycił silnie jej rękę.

Janina zaskoczona niespodziewanie, krzyknęła przeraźliwie, lecz krzyk ten zginął bez echa w szumie miotającego się wichru, który uniósł go daleko, na morze. Nie poznała napastnika, ale przeczuła, co jej grozi, przeczuła, że godziny jej życia są policzone. Po drugiej jej stronie stanął Totor w groźnej postawie.

— Pokaźno mała! To twój kochanek, co? — zapytał Barykada, wyrywając jej fotografię z ręki, podczas kiedy drugą ujął ją silnie w pasie i uniósł ponad ziemią, ku wielkiej uciesze małego apasza, zadowolonego z tak łatwego rozwiązania sprawy. Jeszcze sekunda, a ciało młodej dziewczyny runie w ciemną przepaść otwierającą się pod jej stopami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Także obrazek wojenny.

(Humoreska).

— Zabraniam po raz ostatni, moje dzieci, zajmować się polityką! — mówił pan Michał do trzech latorośli swego rodu. — Dzisiaj te kwestye mogą być poruszane tylko przez starszych i to z zachowaniem wszelkiej ostrożności, można się bowiem łatwo narazić; jeżeli jeszcze raz zastanę was rozprawiających o polityce, co zwykle prowadzi do bójki — wysyłam najgłośniejszego z chłopców na wieś do cioci Wandzi.

Pamiętajcie smyki!

— Ja się nie zgadzam na ewakuacyę! — zaoponował energicznie najmłodszy, Tadzio!

— Co? ty się nie zgadzasz? jakto się nie zgadzasz? A to dobre... wyślę i basta!

— Jeżeli tatuś go wyśle, ja również pojadę — dodał Bohdanek — zawarłem właśnie onegdaj z Tadzikiem dwuprzymierze przeciwko Jerzykowi i idziemy na niego w gwałtownej ofenzywie.

— O, przepraszam! — zakwestyonował Jerzyk — co do tego, to nie! Wykonałem dziś rano pomyślną kontrofenzywę i podbiłem nawet Tadzikowi oko!

— Co, podbiłeś mu oko? — zawołał pan Michał. Ależ wy jeden drugiego okaleczycie! Chodź Tadziu, pokaż oko! A to dardanelskie osły! dzieciak ma siniaka, jak pięść!

— Tatusiu, nie jesteśmy dardanelskiemi osłami! — zawołali jednocześnie chłopcy.

— Ja zawsze stoję po sronie czwórporozumienia! — dodał Jerzyk.

— My zaś nie, Turkami być nie chcemy, chociaż uważamy, że Dardanele są nie do sforsowania!

— To się jeszcze zobaczy! — bronił Jerzyk.

— Nie potrzebujemy zobaczyć, bo już widzimy: nie zdobyte i koniec!

— Poczekajcie, moi drodzy! Niech się tylko Bałkan ruszy!

— Tak, tak... ty wciąż tylko mówisz, jak Bałkan się ruszy... ruszy, jak martwe ciele ogonem!

— Proszę tylko bez cieląt! W polityce niema cieląt! — zapalał się Jerzyk.

— Jakto niema? — parsknęli śmiechem młodzi chłopcy.

— Jeżeli bronisz cielęcej polityki Bałkanu, toś sam cielę!

— A wy barany, bo bronicie Dardaneli!

— Proszę nam nie ubliżać!

— Wy mnie ubliżacie; Bohdan weź ten kułak!

— Jerzyk, zamknij swoją „politykę“.

— Tatusiu, podbili mi drugie oko! — zawołał z płaczem Tadzio, biegnąc do ojca, który bezradny przyglądał się tej scenie.

— Kto uderzył Tadzia? — krzyknął wreszcie zirytowany pan Michał.

— To ja, tatusiu, ale chciałem Jerzyka, więc to się nie liczy!

— Ja ci dam „nie liczy się“! Jerzyk i Bohdan pójdą do kąta na pół godziny, nosem do ściany!

Chłopcy pogrozili sobie nawzajem i udali się na miejsce kary doczesnej. Pan Michał tymczasem opatrywał oko zapłakanego Tadzia, który upewniał ojca, że zerwie koalicyę z Bohdanem, że nawet Rosya ma lepszych sprzymierzeńców, którzy, jeżeli pozwalają się bić, to przynajmniej sami jej nie biją.

— A ja ci powiadam, że nie zerwiesz, boś się zaangażował finansowo — odezwał się pewnym tonem Bohdan z rogu pokoju.

— Wolę skwitować z finansów i amunicyi, a nie dostawać codzień w oko! Jerzyk podbił mi jedno, tyś drugie, nie mam więcej oczu na stracenie! Wolę prowadzić samodzielnie akcyę wojenną!

— Głupi chłop! samodzielnie? Zginiesz, jak mucha — zakonkludował Bohdan.

— No, no, prześlicznie! — odezwał się Jerzyk z drugiego rogu. — Konjunktury polityczne układają się dla mnie bardzo pomyślnie, rozdwojenie w koalicyi nieprzyjacielskiej. Teraz dam sobie radę z tobą Bohdanku, a później na Tadzika!

— Widzisz ten kułak? — odpowiedział Bohdan — nie ustąpię, choćbym miał wszystką amunicyę wystrzelać; a potem na bagnety!

— A tom ich pokłócił — zawołał uradowany Tadzio, którego oko przestało nagle boleć. — Bijcie się, bijcie, jeszcze ja na tem skorzystam!

— Mój drogi, tylko nie udawaj Anglika, bo jeszcze możesz...

— Cicho, chłopcy! — przerwał pan Michał — zdaje się, że ktoś dzwoni, to pewno mama!

Po chwili wpada do pokoju pani Helena, korpulentna magnifika pana Michała, wpadła dosłownie jak bomba z kapeluszem przekrzywionym, rozpalonemi policzkami i załamanemi rękoma.

— Heluniu! — odezwał się pan Michał — coś tak wzburzona?

— Ah! tchu, tchu, powietrza... Michale... coś strasznego... okropnego... Wyobraź sobie, ten Biernacki z parteru nazwał mnie, nie pamiętam już jaką „filką“. Cóż on sobie myśli? Nie znam specyalnych wyrażeń, używanych przez mężczyzn, lecz pewną jestem, że to nie oznacza nic dobrego! I taki śmie... uczciwą kobietę... w ten sposób... Nie, nie, to przechodzi ludzkie pojęcie!

— E, on pewno mamę nazwał „moskalofilką“ — zaryzykował Jerzyk — to jeszcze nic strasznego! Zresztą, mama po części ma racyę!

— Kto ma racyę? Moskalofilka? Jerzyk, ty chyba kpisz! — oburzył się Bohdan.

— Nie dość tego — ciągnęła dalej pani Helena — on twierdzi, że sprzymierzeni muszą wygrać!...

— Bo ma racyę! — wtrącił Bohdan.

— Taką samą, jak i ty! — dorzucił Jerzyk.

— Chłopcy cicho — zawołał pan Michał...

— Będziemy już cicho, zrobimy nawet zawieszenie broni, ale niech tatuś pozwoli nam wstać.

— A wstańcie już, wstańcie... tylko mi dajcie święty spokój!

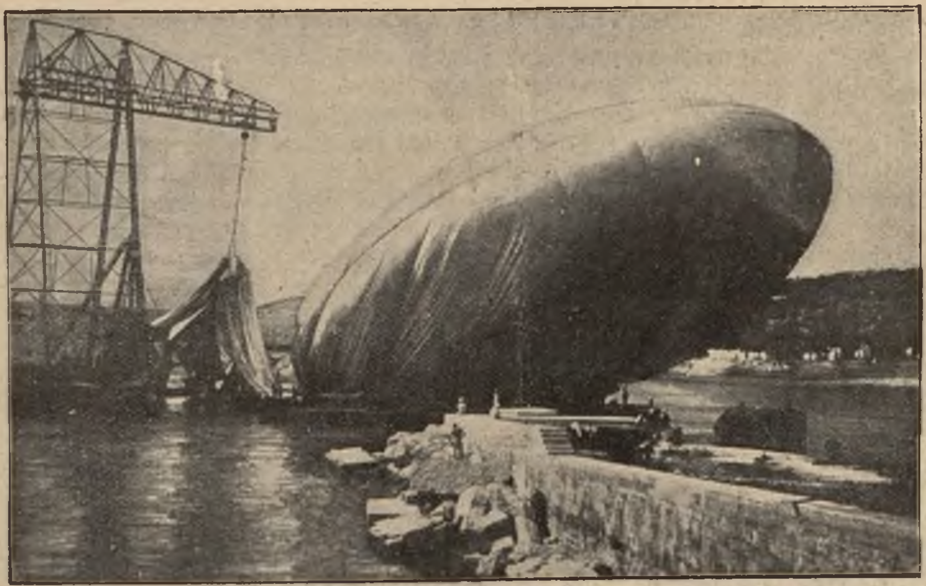
— Więc to, Michale, nic złego ta „filka“, bo ja już myślałam...

— Ależ, nie, nie — to oznacza pewne skłonności polityczne.

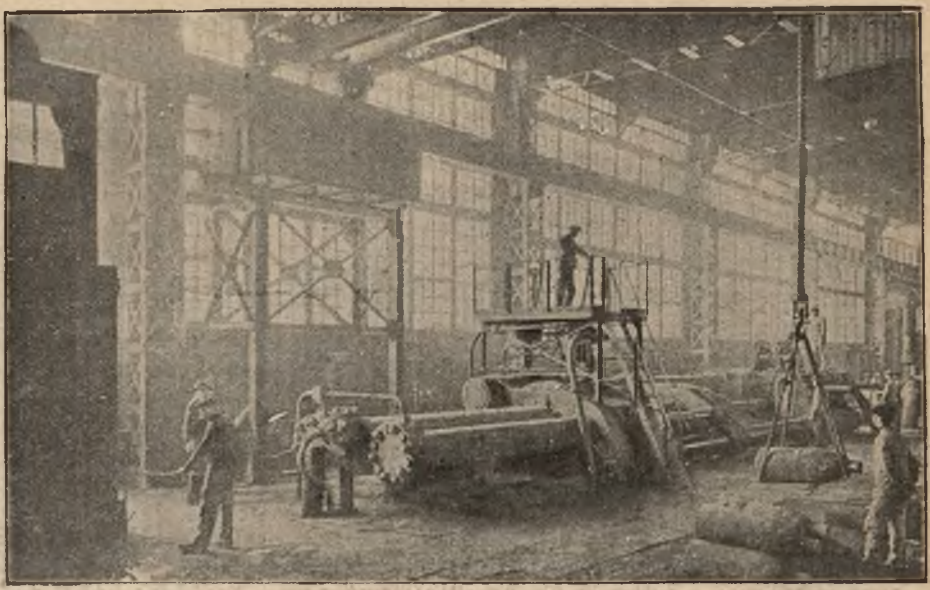
— Polityczne? No to chwała Bogu, że tylko polityczne! Ale przyznasz Michałku, że Biernacki na kwestyę zwycięstwa zapatruje się fałszywie, ja mam dalеko więcej racyi?

— O tak, Heluniu! Każde z was ma racyę i ty masz racyę, Jerzyk, Bohdan, nawet Tadzio ma racyę, tylko ja jeden nie mam racyi, że chciałbym raz mieć spokój w domu! O, żeby ta wojna najprędze się skończyła!...

Wacław Grabiański.



Z teatru wojny: Włoski balon „Citta di Jesi“, zestrzelony przez wojska austro-węgr. w Poli.



Fabryka broni w Creusot: Hala, w której wyrabia się największe pociski armatnie.

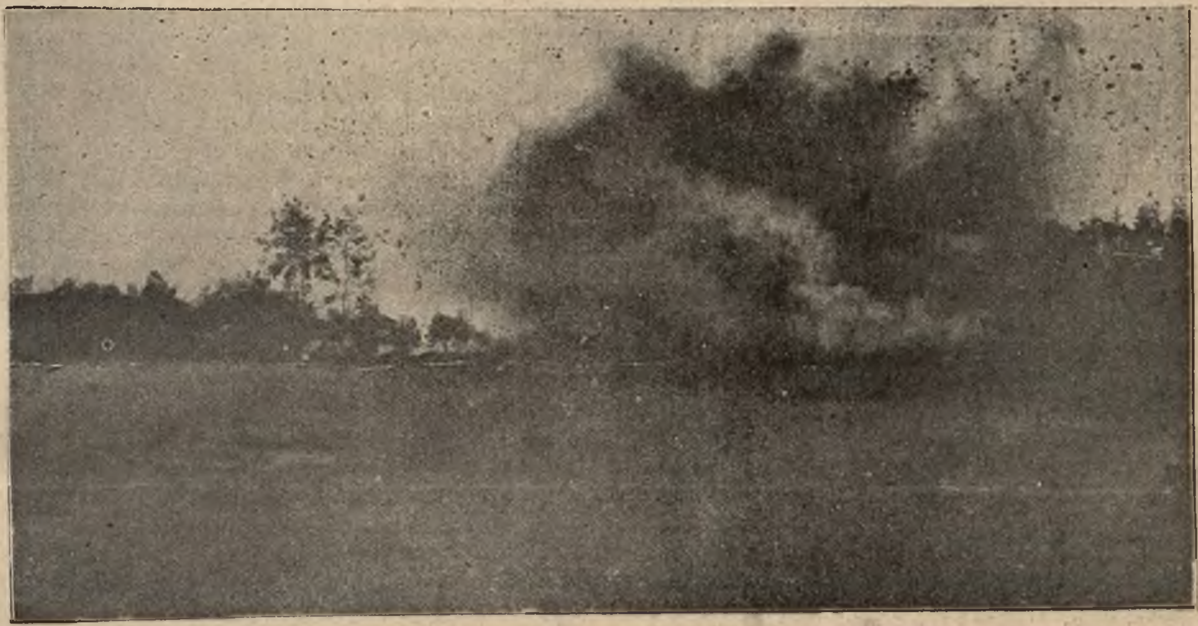
Artystyczne wydawnictwa Kraj. Stow. Czerw. Krzyża.

Zarząd Kraj. Stow. Czerw. Krzyża powziął bardzo szczęśliwą myśl, która stworzy niewątpliwie jedno z najpopularniejszych źródeł dochodów, nigdy dość wielkich, aby zaspokoić potrzeby rannych i chorych żołnierzy. Przystąpiono mianowicie do wydawnictw artystycznych, na które składają się reprodukcye o większych rozmiarach, jako też cały szereg ozdobnych kart pocztowych. Na czele wydawnictwa wymienić należy piękną „Kartę pamiątkową“, oddaną w barwnym światłodruku według oryginału Wojciecha Kossaka, a przedstawiającą ciężko rannego żołnierza, któremu w malignie zjawia się obraz szturmu przed chwilą wykonanego. Dłoń samarytanki łagodzi ból i cierpienie bohatera.



Chiny znowu cesarstwem: Nowy cesarz chiński Juanszikaj.

Druga reprodukcya większych rozmiarów przedstawia „Gwiazdkę żołnierską“ tegoż samego mistrza. Wykonana również w barwnym druku oddaje znakomicie wszystkie cechy niezwykle oryginalnego obrazu. Wojciech Kossak przenosi nas w noc Bożego Narodzenia w daleki świat walki nad Nidą, gdzie w roku zeszłym sam przeżywał twarde chwile żołnierskiej doli. Chwila oczekiwania pierwszej gwiazdki, zamiast której pojawia się na czarnem tle nieba pękający szrapnel, działa na wyobraźnię widza w sposób niezwykły. Redakcya naszego pisma korzysta ze sposobności i podaje w dzisiejszym numerze rycinę wykonaną z tego obrazu, aby dać możność zapoznania się z nią jak najszerszemu ogółowi.



Z francuskiego frontu: Wybuch francuskiej miny pod okopami.

Zaznaczamy przytem, że wspaniałe to dzieło Kossaka, niezależnie od reprodukcyi większych rozmiarów, wyszło także w seryi artystycznych pocztówek, wydanych przez Kraj. Stow. Czerw. Krzyża.

Z polskich pobojowisk.

W licznym szeregu wsi, miasteczek i miast, które wojna zamieniła w zgliszcza, przesunęły się już przed oczyma czytelników „Nowości Illustrowanych“ liczne miejscowości ze wszystkich stron ziemi polskiej. Kilkakrotnie już zamieszczaliśmy fotografie ze zburzonych sadyb ludzkich w Lubelskiem, gdzie zarówno zacięte walki, jak i odwrót Rosyan, palących wszystko za sobą, przeszły tam pożogą zniszczenia. W dzisiejszym numerze uzupełniamy „pobojowiska polskie“ nowemi zdjęciami, nadesłanemi nam przez naszych korespondentów, a między innemi zamieszczamy fotografie, przedstawiające spaloną osadę Piaski pod Lublinem i Kraśnik w Lubelskiem, głośny dziś z powodu stoczonych w pobliżu tego miasteczka bitew. Pomimo zaciętych walk pod Kraśnikiem — samo miasteczko niezbyt wiele ucierpiało, jak to wskazuje jedna z naszych fotografii. Jak widać z tego zdjęcia, ocalał tam również kościół, jeden z najstarszych na ziemi lubelskiej, bo wybudowany w roku 1468. Natomiast osada Piaski pod Lublinem, licząca kilka tysięcy mieszkańców, ucierpiała znacznie więcej, jak to widzimy na zamieszczonych fotografiach.



Z polskich pobojowisk: Piaski pod Lublinem po odwrocie Rosyan.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy IV-ty kwartał XII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Austryi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę z Austryi i W. Ks. Poznańskiego przesyłać należy wprost do Administracyi naszego pisma: Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95 (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·— marek
Półrocznie	8 „	8·50 „
Kwartalnie	4 „	4·25 „

Kronika tygodniowa.

Rok tysiąc dziewięćsetny piętnasty schodzi do grobu, który się zwie wiecznością, a kronikarzowi przypadł ten zaszczyt, by mu poświęcić żałosne wspomnienie.

Zanim się to przecież stanie, muszę najpierw spełnić swój obowiązek i, jak to zresztą czynię co roku, złożyć Szanownym Czytelnikom i Czytelniczkom życzenia. Mógłbym sobie wprawdzie dać spokój ze względu na to, iż dotąd nikt mi się jeszcze nie zrewanżował, a jeśli mi kto kiedy życzył, to najwyżej w skrytości serca, by mi dyabeł nogi w precle powykręcał lub coś podobnego. Tak zazwyczaj życzą kronikarzowi Czytelnicy, którzyby chcieli, aby tylko to „stało“ w gazecie, co im się podoba. Ponieważ różne są gusta i guściki, jeden lubi to, drugi owo, trudno odrazu wszystkich zadowolić. W jednym tygodniu gniewają się ci, w drugim tamci, kronikarz jest przez rok cały kozłem ofiarnym.

Ale, jako prawowierny chrześcijanin, przebaczam bliźnim, którzy „nie wiedzą, co czynią“ i kronikę niniejszą zaczynam od życzeń, bojąc się, by one, o ile znalazłyby się na końcu, nie padły ofiarą pana metrampaża, dla którego niema nic świętego! Obcina nawet kronikę, nie wiedząc nawet, że jakby krajał żywcem serce autora lub jego przerośniętą wątrobę.

I czegóż życzyć, by tym razem wszystkich w czambuł zadowolić?

W pierwszym więc rzędzie rychłego odnowienia prenumeraty, numer ten jest bowiem ostatnim w tym roku, Administracya zaś powiada, że „kto prenumeraty nie zapłaci, następnego numeru już nie otrzyma“, a szkoda byłaby to niepowetowana, gdyż będzie on ogromnie ciekawy, jak się o tem na własne oczy przekonałem, widząc kolegów redakcyjnych, zbierających doń materyały.

Jest jednak między Czytelnikami wielu takich, którzy powiadają, że płacenie prenumeraty jest całkiem głupim wymysłem, gdyż pismo powinien każdy gratis otrzymywać. Wtedy mogłoby liczyć na kolosalne rozpowszechnienie.

Ja jestem jednak przeciwnego zupełnie zdania, wedle mojej bowiem oryentacyi nic dziś „za bezdurno“ nie otrzymasz, zwłaszcza, że wszystko drożeje z dnia na dzień coraz bardziej.

Trudna więc rada, niech każdy weźmie sobie do serca przysłowie: „Kto chce czytać, płacić musi“, niech je sobie wypisze w różnych miejscach, niech je codzień, a przynajmniej co tydzień, najwygodniej zaś raz na kwartał przy okienku kasy pocztowej powtarza, a wszystko będzie w porządku.

Papier drogi, farba droga, współpracownicy pomimo dwu dni urzędowego postu w tygodniu, chcą koniecznie jeść, a prenumerata jest właśnie ową kalafonią, która smaruje smyczek redakcyjno administracyjny.

A proszę mi powiedzieć, co wart smyczek bez kalafonii?... Sam widziałem na ostatnim koncercie, że nawet tak znakomity smyczek, jak pana Hocka, bez kalafonii się nie obejdzie.

Pozatem życzę wszystkim, więc i sobie, by się wojna jak najprędzej skończyła, byśmy bodaj w roku przyszłym doczekali się zawarcia pokoju, dla nas jak najkorzystniejszego.

Do tego zaś potrzebne jest koniecznie zdrowie, kto bowiem zachoruje, lub (broń Boże od tego!) umrze, ten sam sobie będzie musiał winę przypisać. Nie dowie się tak prędko, na jakich warunkach pokój zawarto i w jaki sposób zmieniono kartę Europy i innych części świata.

Niechaj więc każdy uważa na swe zdrowie i niech wypełnia bodaj owe przykazania, które nam pan fizyk miejski porozlepiał w tramwaju. Ogłoszono je w sam czas, w miesiąc już nie było we Wiśle ani jednego bakcyla cholerycznego, razem z nimi zniknęli z pod Krakowa i Moskale.

Stara, a wypróbowana maksyma: „Szanuj zdrowie należycie, bo, jak umrzesz, stracisz życie“, niechaj będzie gwiazdą przewodnią dla każdego. Nie objadajmy się więc w dniu wigilijnym, a potem w czasie świąt, kto zaś lubi jeść dużo i dobrze, (Mój Boże! Gdyby to było można!... przyp. zecera), niech pamięta, że potem bardzo zdrowo kiszeczki sobie pilznerkiem wyszlamować.

Tak mnie nauczyła jedna z naszych powag lekarskich i tak też zawsze robię i dlatego jestem zdrów, czego niniejszem życzę i Szanownym Czytelnikom oraz Nadobnym Czytelniczkom.

Wiem, że z tego powodu zgniewają się na mnie lekarze, aptekarze, przedsiębiorcy pogrzebowi i tym podobne zawody, ja jednak, jako prawdziwy przyjaciel ludzkości nic sobie z tego nie robię, bo wiem, że radzę dobrze i do tego nic za tę radę nie żądam, prócz wdzięczności. Gdyby zaś wdzięczna ludzkość miała ochotę po najdłuższem życiu uczcić mnie pomnikiem, to z góry powiadam, że sobie tego nie życzę, już choćby z tego powodu, by nie mieć z tem tylu kłopotów, co n. p. Kościuszko, który w żaden sposób nie może opuścić podwórza koszar Straży ogniowej, gdzie został internowany. Kto wie, gdzie wpakowanoby mój pomnik, zanim znawcy sztuki, konserwatorzy, miłośnicy przeszłości miasta Krakowa, estetycy i inni weterynarze zgodzą się, które miejsce mu przeznaczyć i jak go postawić, frontem, czy też odwrotną stroną.

Aby zaś mieć zdrowie, trzeba mieć i dobry humor, a tego nie kupi nawet w aptece. Dobry humor ma zaś ten tylko, kto nie ma trosk i kłopotów, a tych nie mają znów ci, którzy mają pieniądze.

I tu znów nowe życzenie opłatkowe.

Niechaj więc każdy z przyjaciół i zwolenników *Nowości Illustrowanych* ma zawsze tyle, ile potrzebuje, jeśli ma więcej, niech się po bratersku podzieli z tym, który nie ma. Proszę sobie ze mnie wziąć przykład. Choć sam niezbyt zasobny, niedawno ofiarowałem dwadzieścia próżnych butelek z gorzkiej wody na rzecz Towarzystwa Opieki nad wstydzącymi się pracować.

Życzyłbym każdemu, by jak najrychlej został kamienicznikiem, boję się przecież, by się który z Czytelników na mnie przypadkiem nie obraził, w takich czarnych ich przedstawiam kolorach. Zresztą, gdyby w Krakowie żyli sami kamienicznicy, także byłoby niedobrze, któżby bowiem płacił wówczas czynsze?

Oto garść życzeń wigilijnych, resztę zostawiam na dzień Nowego Roku, który jest już za pasem, a tymczasem słów parę żałosnych poświęcę nieboszczykowi, łatwo bowiem bardzo stacby się mogło, że mi miejsca braknie na zapowiedziany nekrolog.

Rok tysiąc dziewięćset piętnasty, który dał nam się bardziej we znaki niż ów z feralną trzynastką w swym ogonie, nie zasługuje wprawdzie na to, by o nim wspominać, zostawia nam przecież kilka pamiątek i o nich właśnie mam zamiar rzeknąć słów kilkoro, by kiedyś potomność wiedziała, jak to z losem musieli się borykać jej dziadowie.

Do nich zaliczam więc urzędowe dni postu, taryfę maksymalną, karty chlebowe i inne osobliwości wojenne, o których się naszym babkom ani nie śniło. Kiedyś następcy nasi będą o nich czytać z takiem zaciekawieniem, jak my o różnych bestyach apokaliptycznych.

Nieboszczyk miał, wedle kalendarza rzymskiego, trzysta sześćdziesiąt pięć dni i coś tam godzin z minutami i sekundami, a każdy dzień zaczynał się rano, kończył zaś wieczór, był zaś jeden do drugiego podobny, jak dwie krople wody z Wisły lub Rudawy i taki też czysty. Około pierwszego, to jest przez dwa lub trzy dni w każdym miesiącu, gdy się czuło kilka groszy w kieszeni, miał każdy mniejwięcej dość gęstą minę, która jednak rzedła z dnia na dzień, w czasie zaś ostatnich czternastu dni w miesiącu można było obserwować ogólne zaćmienie kieszeniowe, wobec czego przychodziło tu i ówdzie do wojen domowych. Gruba Berta trajkotała wówczas, niczem karabin maszynowy, a tak zwany pan domu stawiał się ostro, mówił: „Co mi zrobisz?“ i pokazywał próżną kieszeń.

Każda zmiana kwartału znaczyła się wzmożoną ruchliwością wśród kamieniczników, z uznaniem przecież podnieść należy, że w bieżącym, a kończącym się roku ani razu nie podnieśli czynszu lokatorom, nie dlatego przecież, jakoby do tego nie mieli ochoty, ale z powodu, iż lokatorów wyewakuowano, a potem z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc przedłużano moratoryum.

I znów dwie osobliwości, ewakuacya i moratoryum, których nie bylibyśmy znali, gdyby nie wojna.

Najgorzej odbił się rok tysiąc dziewięćset piętnasty na kwestyi małżeństw, których urząd statystyczny zapisał bardzo niewiele, prawie wszyscy bowiem zdolni do noszenia jarzma małżeńskiego powołani zostali do noszenia broni. Tu i ówdzie stawały kochające się pary na ślubnym kobiercu, nie było tego jednakowoż tyle, ile wymaga naturalny przyrost ludności. Wobec tego zwiększyła się liczba starych panien w sposób zatrważający i zmusiła czynniki miarodajne do rozpoczęcia debat, jakichby należało użyć środków zaradczych, by złemu zapobiedz. Radzi się ciągle nad tem, wyniki podane zostaną w swoim czasie do wiadomości publicznej i będą obowiązywać pod rygorem egzekucyi lub przymusowego dostawienia winowajcy przed ołtarz.

A i w życiu politycznem nie lepiej się działo, choć stwierdzić muszę, że różne stronnictwa pomimo wojny i tak właziły sobie stale na pięty i szyły nawzajem buty, ale bez skóry, gdyż ona teraz jest bardzo droga. Najgłośniejsi krzykacze zamilkli jednak i przygotowują się na czas powojenny, kiedy będzie już można wyładować nazbieraną energię. Na razie mścili się na bliźnich w artykułach wstępnych, które kiedyś, za lat kilka, warto będzie jeszcze raz uważnie sobie przeczytać, a wówczas pozna się ich tak zwane polityczne oryentacye, które zmieniały się przynajmniej raz na kwartał, lub nawet i częściej.

Osobne słowo należy się też i tak zwanej aprowizacyi, z którą każdy, kto prowadził bodaj maleńkie gospodarstwo, a nie został wyewakuowany, miał przez rok cały do czynienia. W ścisłym z nią związku stały także tak zwane taryfy maksymalne, ogłaszane od czasu do czasu przez magistrat. Stanowiły one bardzo miłą, pouczającą i pożywną lekturę dla mieszkańców miasta.

Dziad więc swoje, baba swoje. Komisya wydawała uchwały, a oni, nic sobie z nich nie robiąc, śmiali się w kułak, darli z nas żywcem skórę i narzekali, że takie teraz ciężkie czasy, że człowiek nie może sobie pozwolić na porządniejsze „wizo“, a o „majzlu“ nawet niema mowy.

W wojennym roku było trochę lepiej, a przyczyniły się do tego poniekąd i owe taryfy maksymalne, choć z drugiej znowu strony trzeba wspomnieć i o tem, że nieraz była taryfa, ale brakło odnośnego artykułu, który cierpliwie czekał w piwnicy lub składzie na wyjście nowszego jej wydania z podwyższonemi już cenami.

A ludziska aprowizowali się na gwałt, kupowali wszystko i wszędzie, w niektórych domach powstały małe magazyny środków spożywczych, na których pasły się tylko myszy ku zmartwieniu naszych gospodyń. Robiło się zapasy, potem się je zjadało, a największy apetyt Krakowian notuje miejski Urząd statystyczny właśnie w owe dwa dni urzędowego postu.

Dalszy ciąg, z powodów odemnie niezależnych, dopiero w roku przyszłym.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.
Ułożył H M., Kraków.

Przez *s* oznacza drogę,
Przez *t* olejkiem będzie,
Przez *sz* ostre narzędzie...
Więcej już mówić nie mogę!

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko współczesnej polskiej artystki malarki.

```
            □
          – □ –
        – – □ – –
      – – – □ – – –
    – – – – □ – – – –
      – – – □ – – –
        – – □ – –
        – – □ – –
        – – □ – –
        – – □ – –
        – – □ – –
      – – – □ – – –
    – – – – □ – – – –
      – – – □ – – –
        – – □ – –
        – – □ – –
        – – □ – –
        – – □ – –
        – – □ – –
      – – – □ – – –
    – – – – □ – – – –
      – – – □ – – –
        – – □ – –
          – □ –
            □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak. 3 Sos winny. 4. Węglowodan 5. Zwierzę z rzędu gryzoniów. 6. Część składowa soku żołądkowego. 7 Materya jedwabna. 8. Pieśń religijna. 9 Owoc. 10 Koń. 11. Owoc. 12. Zakon żeński 13 Stopień wojskowy 14. Imię męskie. 15. Węglowodór. 16 Metal. 17 Wehikuł wodny. 18 Tytuł słowiański 19. Naczynie 20. Wyrób z mleka 21. Wyrażenie algebraiczne. 22 Rodzaj okrętu. 23. Reformator kościoła w Anglii. 24. Część utworu dramatycznego. 25. Samogłoska.

Łamigłówka.
Ułożył Buchsbaum, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą ważny zwrot z obecnej wojny światowej.

—oza
—gon
—ora
—gła
—mir
—era
—ara
—gon
—afa
—aba
—ran
—wan

Równanie.
Ułożył E. Jarzyna, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego poety, w drugiem tytuł jego utworu

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{3}+\frac{c}{3}+\frac{d}{2}=x.$$

$$\frac{e}{3}+\frac{f}{2}+\frac{g}{3}=y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Rzeka na Wołyniu b) Szczyt w Tatrach. c) Polski jenerał-bohater. d) Ptaki. e) Wróżenie z kart. f) Część ciała. g) Owoce podzwrotnikowe.

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy utworzy nazwisko słynnego niemieckiego filozofa.

```
□ – – –
□ – – –
□ – – –
□ – – –
□ – – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Nakrycie głowy. 2 Zbiór podań skandynawskich. 3 Metal. 4. Lekarstwo. 5. Wyraz używany przy grze w karty.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Idzi, głodna mątwa, grog, dzieło, ząb, z.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bum! Piłat pada w Celesyryi.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

ROCH SZMIT.

IRENA GIL
KĘPA.

PIOTR O. R. WAZA.

IZYDOR E. P. KOSMA.

AGAPIT E. KARNER.
DYNOW.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *dra K. Niedzielskiego*: **Wojna w r. 1812.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 50.

Łamigłówka: Kot utopi potu tok.

Grzebieniówka:

V	**e**	**r**	**c**	**i**	**n**	**g**	**e**	**t**	**o**	**r**	**i**	**x**
e		e		d		o		a		o		e
r		s		u		r		r		b		r
o		z		m		d		e		e		x
n		t		e		o		n		r		e
a		a		a		n		t		t		s

Szarada: Kunerol.

Okienko:

```
R ó w n o
ó   a   g
w a g o n
n   o   i
o g n i a
```

Zadanie do przestawienia: Na gołego i psy szczekają.

Równanie:
Bolero + polemika + Osława + wino + tarok = **Bolesławit**.
Janczar + danina + operacya + Oreł + jaskółka = **Czarna perełka.**

Trójkąt magiczny:

```
Z a d u s z k i
A p e n i n y
D y a b e ł
U k r o p
S u m a
Z i n
K u
I
```

Szarada: Nagroda.

Kwadrat magiczny:

5	4	11	14
16	9	2	7
10	15	8	1
3	6	13	12

Zadanie do przestawienia: Fortuna kołem się toczy.

Bilety wizytowe: Mansyonarz. Golibroda. Ekonom karbowy. Sufler teatralny. Pianista.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno. S. Wolańska Przemyśl, J. Wojciechowski Rzeszów, M. Zielińska we Lwowie, S. Milski Tarnów, H. Królicki Nowy Sącz, R. Królicki Krościenko n. D., Z. Szymanek Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **K. Ohrenstein, Podgórze.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

O wojenną twórczość ludową. Twórczość ludowa trwa zawsze i wszędzie. A przedmiotem jej cały bezmiar życia, cała skala tonów, cała gama uczuć, pragnień i sądów. Im zaś które zjawisko silniej wpląta się w przebieg przeżyć, tem wyraźniej podkreśla je ludowa wyobraźnia.

Więc dziś gdy naród bierze tak bezpośredni udział w niewidzianych dotąd zmaganiach się, trudno przypuścić, by ogrom tej grozy przeszedł bez echa i nie zostawił śladów w umysłach ludu. W każdym mózgu coś choćby nieuchwytnego snuć się musi, coby chciało bezmiar klęsk ocenić, pojąć i wyjaśnić. I tak powstają ludowe pieśni, podania, anekdoty, wspomnienia o poległych.

Po długich latach zmartwychwstała żołnierska pieśń polska podnosi ducha, umila trudy wojenne, skraca ciężkie chwile pobytu w okopach, towarzyszy nawet w boju i śmierć czyni lżejszą...

A że w wirze przygód wojennych trafiają się niejedne, prawie że cudowne, czyto ocaleń szczęśliwych, czy przywidzeń gorączkowo podnieconej wyobraźni — więc snuje się też złota nić legendarnych opowieści o czuwających nad nami wyższych mocach, łaskawych i sprawiedliwych.

Wreszcie zbiorowisko żołnierzy, ludzi młodych i pełnych animuszu, wre niefrasobliwością humoru, żartu i satyry, wymierzonej ku wrogom, czy też swoim. Stąd rodzi się wojenna anekdota...

Na rozłogach zaś pól wzrasta las krzyżów, przeważnie drewnianych, niewprawną dłonią ciosanych. A pokrywają je równie nieudolne, a jednak pełne nieraz myśli głębokich i uczuć wzniosłych napisy, inskrypcye, dające świadectwo o poległych bohaterach. Te epitafia powinno się także zanotować z dokładnem podaniem miejsca i osoby, do której się odnoszą, zanim je zmyje deszcz, zatrze śnieżyca.

W całości daje nam ta ludowa twórczość wojenna wierny obraz przeżywanych momentów i stanowi pierwszorzędny dokument kulturalny. Dlatego, chociażby jej forma zewnętrzna była zgoła nieudolna, należy ją zebrać skrzętnie i przechować najstaranniej...

Tym działem etnograficznym postanowiło zająć się *Polskie Archiwum i Muzeum Wojenne* i uprasza wszystkich o najliczniejsze współpracownictwo w zbieraniu inskrypcyi na mogiłach, oraz pieśni, podań i opowieści, osnutych na tle „wielkiej wojny".

Niechaj nie giną i te pomniki, nieobojętne zarówno dla ogółu, jak i dla naukowych badaczy, dla kultury narodowej w promiennej, da Bóg, przyszłości!

Zarząd Polskiego Archiwum Wojennego.

Składnice P. A. W.: Lwów, Małeckiego 5, — Kraków, Akademia Umiejętności, — Wiedeń I., Wallnerstrasse I. a, — Fryburg (Fribourg) w Szwajcaryi, Prof. Stanisław Dobrzycki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.